

381

Anton Czechow

Wujaszek Wania

Sceny z życia wiejskiego w czterech aktach

Przekład Agnieszka Lubomira Piotrowska

Osoby:

Aleksandr Sieriebriakow - emerytowany profesor

Jelena - jego żona, lat 27

Sofia (Sonia) - jego córka z pierwszego małżeństwa

Maria Wojnicka - wdowa po tajnym radcy, matka pierwszej żony profesora

Iwan Wojnicki - jej syn

Michaił Astrow - lekarz

Ilja Tielegin - zubożały ziemianin

Marina - stara niania

Robotnik

Akcja toczy się w majątku Sieriebriakowa

AKT PIERWSZY

Ogród. Widać część domu z tarasem. W alei pod starą topolą stół nakryty do herbaty. Ławki, krzesła, na jednej z ławek leży gitara. Niedaleko stołu - huśtawka. Minęła piętnasta. Pochmurno.

Marina (*tęga, nieruchawa staruszka, siedzi przy samowarze i robi pończochę*) i Astrow (*chodzi obok*)

MARINA (*nalewa herbatę do szklanki*). Napij się, kochanie.

ASTROW (*niechętnie bierze szklankę*). Jakoś nie mam ochoty.

MARINA. Może wódeczki?

ASTROW. Nie. Nie piję wódki dzień w dzień. Zresztą parno dziś.

Pauza

Nianiu, ile lat się znamy?

MARINA (*namyślając się*). Ile? Daj mi Boże pamięć... Przyjechałeś tutaj, w nasze okolice... kiedy?... jeszcze żyła pani Wiera, matka naszej Soni. Za jej życia dwie zimy bywałeś u nas... Czyli - minęło jedenaście lat. (*Po chwili namysłu*) A może i więcej...

ASTROW. Mocno się zmieniłem?

MARINA. Mocno. Wtedy młody byłeś, ładny. Postarzałeś się. I uroda już nie ta. Co tu gadać - popijasz wódeczkę.

ASTROW. Tak... W dziesięć lat stałem się innym człowiekiem. A przyczyna? Zaharowałem się, nianiu. Od rana do wieczora na nogach, chwili spokoju, a w nocy kulę się ze strachu pod kołdrą, żeby nie było wezwania do chorego. Cały ten czas, jak się znamy, ani jednego dnia wolnego. To jak się nie zestarzeć? Zresztą życie jest nudne, głupie, brudne... Pochłania to życie. Wokół cudaki, same cudaki; a poobcujesz z nimi dwa-trzy lata i sam stopniowo, niepostrzeżenie stajesz się cudakiem... Nieuchronny los.

(Kręci długiego wąsa)

Patrz, jakie wielgachne wąsy wyrosły... Głupie wąsy. Zostałem cudakiem, nianiu. Zgłupieć, to jeszcze nie zgłupiałem, dzięki Bogu, głowa pracuje, ale emocje jakoś się stępiły. Niczego mi się nie chce, niczego mi nie trzeba, nikogo nie kocham... No, chyba tylko ciebie. (*Całuje ją w głowę*) W dzieciństwie miałem taką samą nianię.

MARINA. Może coś zjesz?

ASTROW. Nie. W Wielki Post, w trzecim tygodniu, pojechałem do wioski Malickoje... epidemia... Tyfus plamisty... W chałupach ludzie leżą pokotem... Bród, smród i ubóstwo, cielecia na podłodze z chorymi... i prosięta... Uwijałem się cały dzień, nie usiadłem na chwilę, nic w ustach nie miałem, a wróciłem do domu, nie dają odzignąć - przywieźli dróżnika; położyłem go na stół, żeby zoperować, a on wziął i umarł mi pod chloroformem.

I wtedy, kiedy nie trzeba, emocje się obudziły, sumienie się odezwało, jakbym go zabił umyślnie... Siadłem, zamknąłem oczy, tak - i myślę: ci, co będą żyli sto, dwieście lat po nas i którym my teraz torujemy drogę, czy wspomną nas dobrym słowem? Nianiu, przecież nie wspomną!

MARINA. Ludzie nie wspomną, za to Bóg wspomni.

ASTROW. Dziękuję. Ładnie powiedziałaś.

(Wchodzi Wojnicki)

WOJNICKI *(wychodzi z domu, zasnął po śniadaniu, wygląda na zaspanego; siada na ławce i poprawia elegancki krawat)*. Tak... *(Pauza)* Tak...

ASTROW. Wypałeś się?

WOJNICKI.

Tak...

Bardzo.

(Ziewa)

Od czasu jak mieszka tu profesor z żoną, życie zgubiło swój rytm... Sypiam nie w porę, na śniadanie i obiad jem różne dziwne sosy, piję wina... niezdrowe to wszystko! Przedtem chwili wytchnienia nie było, pracowaliśmy ja, i Sonia - wielki szacunek, a teraz pracuje tylko Sonia, a ja śpię, jem, piję... Niedobrze!

MARINA *(kiwając głową)*. Porządki! Profesor wstaje o dwunastej, a samowar kipi od rana, czeka na niego. Bez nich obiad był koło pierwszej, jak u ludzi, a z nimi koło siódmej. Profesor czyta po nocach i pisze, raptem koło drugiej dzwonek... Matko Przenajświętsza, co się dzieje? Herbatę! I budź ludzi dla niego, samowar nastawiaj... Porządki!

ASTROW. Długo tu jeszcze zostaną?

WOJNICKI *(gwizdże)*. Sto lat. Profesor postanowił tu zamieszkać.

MARINA. I teraz to samo. Samowar od dwóch godzin na stole, a oni spacerują.

WOJNICKI. Idą, idą... Spokojnie.

(Słychać głosy; z głębi ogrodu wracają ze spaceru Sieriebriakow, Jelena, Sonia i Tielegin)

SIERIEBRIAKOW. Pięknie, pięknie... Bajeczne widoki!

TIELEGIN. Cudowne, ekscelencjo.

SONIA. Jutro, tato, pojedziemy do leśniczówki. Chcesz?

WOJNICKI. Zapraszam na herbatę!

SIERIEBRIAKOW. Moi drodzy, przynieście mi herbatę do gabinetu, bądźcie tak mili! Muszę dzisiaj jeszcze trochę popracować.

SONIA. A w leśniczówce na pewno ci się spodoba...

(Jelena, Sieriebriakow i Sonia wchodzą do domu; Tielegin siada przy stole obok Mariny)

WOJNICKI. Skwar, duchota, a nasz wielki uczonec w płaszczu, kaloszach, z parasolem i w rękawiczkach.

ASTROW. Czyli dba o siebie.

WOJNICKI. A jaka ona piękna! Jaka piękna! Jak żyję nie widziałem piękniejszej kobiety.

TIELEGIN. Pani Marino, czy jadę polem, spaceruję w cienistym ogrodzie, czy patrzę na ten stół zastawiony, odczuwam niewytłumaczalną błogość. Pogoda anielska, ptaszki śpiewają, żyjemy tu wszyscy w zgodzie i spokoju - czego chcieć więcej? *(wypija szklanekę herbaty)* Najczulej pani dziękuję!

WOJNICKI *(rozmarzony)*. Oczy... Cudowna kobieta!

ASTROW. Opowiedz no coś, Iwanie.

WOJNICKI *(ospale)*. Co ci mam opowiadać?

ASTROW. Nie ma nic nowego?

WOJNICKI. Nic. Wszystko stare. Ja jestem taki sam, jak byłem, może nawet gorszy, bo rozleniwiłem się, nic nie robię i tylko gderam jak stary grzyb. Moja stara wrona, maman, dalej papla o emancypacji; jednym okiem spoziera w mogiłę, a drugim szuka w swoich mądrych książkach zarzewia nowego życia.

ASTROW. A profesor?

WOJNICKI. A profesor po staremu od rana do głębokiej nocy siedzi u siebie w gabinecie i pisze. „Natężając umysł, marszcząc przy tym czoło, piszemy ciągle ody, ody, i mimo całej naszej pracy -

ni pochwał, ni nagrody!” Papier cierpliwy! Lepiej napisałby autobiografię. Jaka znakomita fabuła! Rozumiesz, emerytowany profesor, stary cietrzew w malignie, szprot uczony... Podagra, reumatyzm, migreny, z zazdrości i zawiści wątroba mu spuchła... mieszka sobie ten szprot w majątku swojej pierwszej żony, mieszka mimo woli, bo życie w mieście za drogie! Wiecznie utyskuje na swoje nieszczęścia, chociaż, w istocie, jest niezwykle szczęśliwy.

(*Nerwowo*)

Pomyśl tylko, jakie ma szczęście! Syn prostego diaka, seminarzysty, doszedł do stopni naukowych i katedry uniwersyteckiej, został ekscelencją, zięciem senatora itd., itd. Zresztą, to wszystko nieistotne. Ale ty spójrz na to. Człowiek równo dwadzieścia pięć lat czyta i pisze o sztuce, nie mając pojęcia o sztuce. Dwadzieścia pięć lat przeżuwa cudze myśli o realizmie, naturalizmie i różnych innych bajdach; dwadzieścia pięć lat wyklada i pisze o tym, co mądrzy od dawna wiedzą, a głupich nie ciekawi - to znaczy przez dwadzieścia pięć lat przelewa z pustego w próżne. A przy tym jaka zarozumiałość! Jakie mniemanie o sobie! Przeszedł na emeryturę i żaden żywy człowiek go nie zna, jest całkowicie nieznan; to znaczy, że przez dwadzieścia pięć lat był nie na swoim miejscu. A spójrz: kroczy jak półbóg!

ASTROW. Chyba mu zazdrościsz.

WOJNICKI. Tak, zazdroścę! Takie powodzenie u kobiet! Żaden Don Juan na całym świecie nie miał tak szalonego powodzenia! Jego pierwsza żona, moja siostra, piękne, potulne stworzenie, czysta jak to niebo niebieskie, szlachetna, wspaniałomyślna, miała więcej wielbicieli, niż on uczniów - kochała go tak, jak mogą kochać tylko czyste anioły takich samych jak one czystych i pięknych ludzi. Moja matka, jego teściowa, do dziś ubóstwia go i do dziś odczuwa wobec niego zabobonną trwogę. Jego druga żona, piękna, mądra - była tu przed chwilą - wyszła za niego, kiedy był już stary, oddała mu swoją młodość, urodę, wolność, swój urok. Za co? Dlaczego?

ASTROW. Wierna profesorowi?

WOJNICKI. Niestety, tak.

ASTROW. A dlaczego Niestety?

WOJNICKI. Dlatego, że ta wierność jest od początku do końca fałszywa. Dużo w niej retoryki, ale brak logiki. Zdradzać starego męża, którego się nie znosi - to niemoralne; a starać się zagłuszyć w sobie biedną młodość i żywe emocje - to nie jest niemoralne.

TIELEGIN (*placzkliwym głosem*). Wania, nie lubię, kiedy tak mówisz. No dalibóg... Kto zdradza żonę albo męża, ten, znaczy, człowiek wahlwy, ten może zdradzić i ojczyznę.

WOJNICKI (*z irytacją*). Zakręć ten strumień, Sękaczu!

TIELEGIN. Pozwól, Wania. Żona dzień po ślubie uciekła ode mnie ze swoim ukochanym z przyczyny mojej niepociągającej aparycji. Mimo to swojego obowiązku nie lekceważyłem. Do dziś ją kocham i jestem jej wierny, pomagam, jak mogę, oddałem swój majątek na wychowanie dzieciątek, które urodziła ukochanemu. Szczęście mi nie sprzyjało, ale honor pozostał. A ona? Młodość minęła bezpowrotnie, uroda pod wpływem praw natury zwiędła, ukochany umarł... Co jej pozostało?

(Wchodzi Sonia i Jelena; po krótkiej chwili wchodzi Maria Wojnicka z książką; siada i czyta; dostaje herbatę, którą pije automatycznie, nie patrząc)

SONIA (*pośpiesznie, do niani*). Nianiu, tam, chłopci przyszli. Idź, porozmawiaj z nimi, a herbatę ja sama...

(Nalewa herbatę. Niania wychodzi, Jelena bierze swoją filiżankę i pije, siedząc na huśtawce)

ASTROW (*do Jeleny*). A ja przecież do pani męża. Pisała pani, że bardzo chory, reumatyzm i jeszcze coś, a okazuje się, zdrowiuśki.

JELENA. Wczoraj wieczorem miał chandrę, narzekał na bóle w nogach, a dziś całkiem całkiem...

ASTROW. A ja trzydzieści wiorst gnałem na złamanie karku. No, nic strasznego, to nie pierwszyna. Za to zostanę już u was do jutra i przynajmniej wyśpię się quantum satis.

SONIA. Wspaniale. To taka rzadkość, kiedy pan u nas nocuje. Pan pewnie bez obiadu?

ASTROW. Tak, bez obiadu.

SONIA. To przy okazji zje pan obiad. My teraz obiad jadamy po szóstej. *(Pije)* Herbata zimna!

TIELEGIN. W samowarze temperatura już znacznie się obniżyła.

JELENA. To nic, panie Iwanie, wypijemy zimną.

TIELEGIN. Przepraszam... nie Iwan, tylko Ilja. Ilja Tielegin albo, jak mnie nazywają niektórzy z powodu dziobatej twarzy - Sękacz. Swego czasu podawałem do chrztu Sonieczkę i ekscelencja, pani małżonek, zna mnie bardzo dobrze. A teraz mieszkam u państwa, w tym majątku... Może pani zauważyła, codziennie siadam z państwem do obiadu.

SONIA. Ilja Iljicz jest naszym pomocnikiem, prawą ręką. *(Czule)* No, chrzestny tatulku, doleję ci?

MARIA WOJNICKA. Ach!

SONIA. Co się stało, babciu?

MARIA WOJNICKA. Zapomniałam powiedzieć Aleksandrowi... tracę pamięć... dotarł dziś list z Charkowa od Pawła Aleksiejewicza... Przysłał mi swoją nową broszurę...

ASTROW. Ciekawe?

MARIA WOJNICKA. Ciekawe, tylko jakieś dziwne. Zwalcza to, czego bronił siedem lat wstecz. To potworne!

WOJNICKI. Nic potwornego. Pij herbatę, maman.

MARIA WOJNICKA. Ale ja chcę rozmawiać!

WOJNICKI. Ale my od pięćdziesięciu lat rozmawiamy i rozmawiamy, i czytamy broszury. Pora z tym skończyć.

MARIA WOJNICKA. Z jakiegoś powodu niechętnie słuchasz, kiedy ja coś mówię. Wybacz, Jean, ale w ostatnim roku tak się zmieniłeś, że zupełnie cię nie poznaję... Byłeś człowiekiem o wyrobionych poglądach, wybijającą się jednostką....

WOJNICKI. O tak! Byłem wybijającą się jednostką, która jakoś się nie wybiła...

(Pauza)

Byłem wybijającą się jednostką... Wybitnie kąśliwy żart! Mam teraz czterdzieści siedem lat. Do zeszłego roku, tak samo jak ty, naumyślnie otumaniałem oczy tą waszą scholastyką, żeby nie widzieć prawdziwego życia - i myślałem, że dobrze robię. A teraz, nie masz pojęcia! W nocy nie śpię z rozgoryczenia, ze złości, że tak głupio roztrwoniłem czas, kiedy mogłem mieć wszystko, wszystko, czego odmawia mi teraz moja starość!

SONIA. Wujku, nudne!

MARIA WOJNICKA *(do syna)*. Ewidentnie oskarżasz o coś swoje poprzednie poglądy... Ale nie one są winne, tylko ty. Zapominasz, że poglądy same w sobie to nic, martwa litera... Trzeba było robić swoje...

WOJNICKI. Swoje? Nie każdy potrafi być piszącym perpetuum mobile, jak twój Herr Professor.

MARIA WOJNICKA. Co chcesz przez to powiedzieć?

SONIA (*blagalnie*). Babciu! Wujku! Błagam!

WOJNICKI. Już milczę. Milczę i przepraszam.

(*Pauza*)

JELENA. A ładną mamy dzisiaj pogodę... Nie ma skwaru...

(*Pauza*)

WOJNICKI. W taką pogodę dobrze się powiesić...

(*Tielegin stroi gitarę; Maryna chodzi koło domu, przywołuje kury*)

MARINA. Cip, cip, cip...

SONIA. Nianiu, czego chcieli chłopci?

MARINA. Ciągle to samo, znowu ten ugór. Cip, cip, cip..

SONIA. Kogo tak wołasz?

MARINA. Jarzębata polazła gdzieś z kurczętami... Żeby wrony nie porwały... (*Wychodzi*)

(*Tielegin gra polkę; wszyscy słuchają w milczeniu; wchodzi robotnik*)

ROBOTNIK. Jest tu pan doktor? (*Do Astrowa*) Doktorze, przyjechali po pana.

ASTROW. Skąd?

ROBOTNIK. Z fabryki.

ASTROW (*zirytowany*). Uprzejmie dziękuję. Cóż, trzeba jechać... (*Rozgląda się za czapkę*) Szkoda, do diabła...

SONIA. Ojej, przykro, naprawdę. Prosto z fabryki proszę do nas na obiad.

ASTROW. Nie, już późno będzie. Gdzie... Dokąd... (*Do robotnika*) Wiesz co, kochany, przynieś mi

kieliszek wódki... (*Robotnik wychodzi*) Gdzie... Dokąd...

(*Znalazł czapkę*)

U Ostrowskiego w jakiejś sztuce jest człowiek z dużymi wąsami i małymi talentami... To właśnie ja.

No to żegnam się, drodzy państwo... *(Do Jeleny)* Proszę kiedyś do mnie zajrzeć - razem z Sofią Aleksandrowną - będę szczerze uradowany. Majątek mam niewielki, raptem trzydzieści dziesięcin, ale jeżeli to panią interesuje, wzorowy sad i szkółka, jakiej pani nie znajdzie na tysiąc wiorst wokoło. A obok mnie lasy państwowe... Leśniczy tam stary, wiecznie choruje, więc w zasadzie to ja zarządzam wszystkim.

JELENA. Słyszałam już, że pan bardzo lubi lasy. Oczywiście, to przynosi wielki pożytek, ale czy to panu nie przeszkadza w prawdziwym powołaniu? Pan przecież jest lekarzem.

ASTROW. Jeden Bóg wie, jakie jest nasze prawdziwe powołanie.

JELENA. A to ciekawe?

ASTROW. Tak, ciekawe zajęcie.

WOJNICKI *(z ironią)*. Bardzo!

JELENA *(do Astrowa)*. Pan jest jeszcze młody, wygląda pan na... no, trzydzieści sześć, siedem lat... i chyba nie takie to ciekawe, jak pan mówi. Tylko las i las. Myślę, że to monotonne.

SONIA. Nie, to jest nadzwyczajnie ciekawe. Michaił Lwowicz co roku sadzi nowe lasy i dostał już za to medal brązowy i dyplom. Tak pilnuje, żeby nie wycinano starych drzew. Jeżeli pani go wysłucha, to zgodzi się z nim w pełni. Mówi, że lasy upiększają ziemię, że uczą człowieka odkrywać piękno i wprowadzają go w podniosły nastrój. Lasy łagodzą surowy klimat. W krajach, gdzie jest łagodny klimat, mniej się traci sił na walkę z przyrodą i dlatego tam człowiek jest delikatniejszy i czulszy; tam ludzie są piękni, zręczni, emocjonalni i mówią wykwintnie, poruszają się z wdziękiem... Kwitną tam nauki i sztuki, filozofia ich nie jest mroczna, a kobiety są traktowane z elegancją i przyzwoitością...

WOJNICKI *(śmiejąc się)*. Brawo, brawo!.. Wszystko to urocze, ale nieprzekonujące, tak że *(do Astrowa)* pozwól, mój przyjacielu, że nadal będę palić w piecach drewnem i z drewna budować stodoły.

ASTROW. W piecach możesz palić torfem, a stodoły murować. No, zgoda, wyrąbuj lasy z potrzeby, ale po co je dewastować? Rosyjskie lasy trzaskają pod siekierami, giną miliardy drzew, pustoszeją kryjówki zwierząt i ptaków, płycieją i wysychają rzeki, znikają bezpowrotnie cudowne pejzaże, a wszystko dlatego, że leniwemu człowiekowi zabrakło rozsądku, by schylić się i podnieść opał z ziemi.

(Do Jeleny)

Nieprawda, droga pani? Trzeba być szaleńczym barbarzyńcą, żeby palić w swoim piecu takie piękno, niszczyć to, czego nie możemy stworzyć. Człowiek został obdarzony rozumem i siłą twórczą, aby mnożyć to, co mu dano, ale dotychczas nie tworzył, tylko niszczył. Lasów coraz mniej i mniej, rzeki wysychają, zwierzyzna ginie, klimat zniszczony i z każdym dniem ziemia staje się coraz biedniejsza i coraz szkaradniejsza.

(Do Wojnickiego)

A ty spojierasz na mnie z ironią i wszystko, co mówię, wydaje ci się niepoważne i... i może faktycznie to jest cudactwo, ale kiedy mijam chłopskie lasy, które uchroniłem przed wycinką, albo kiedy słyszę, jak szumi mój młody las, zasadzony moimi rękoma, uprzytamniam sobie, że klimat po trosze jest w moim władaniu, i że jeśli za tysiąc lat człowiek będzie szczęśliwy, to będzie to po trosze i moja zasługa. Kiedy sadzę brzoźkę i widzę potem, jak zieleni się i chwieje na wietrze, moją duszę przepelnia duma i ja... *(dostrzegając robotnika, który przyniósł na tacy kieliszek wódki)* Jednak... *(Pije)* Czas na mnie... Wszystko to, zapewne, cudactwo, koniec końców. Kłaniam się! *(Idzie w stronę domu)*

SONIA *(bierze go pod rękę i idzie razem z nim)*. To kiedy pan przyjedzie?

ASTROW. Nie wiem...

SONIA. Znowu za miesiąc?..

(Astrow i Sonia wchodzą do domu; Maria Wojnicka i Tielegin siedzą przy stole; Jelena i Wojnicki idą w stronę tarasu)

JELENA. A pan znowu był nieznośny. Musiał pan handryczyć się z Marią i mówić o perpetuum mobile! A dzisiaj przy śniadaniu znowu kłótnia z Aleksandrem. Jakie to blahe!

WOJNICKI. Ale jeśli ja go nienawidzę?

JELENA. Nienawidzić Aleksandra nie ma za co, jest taki sam, jak wszyscy. Nie gorszy od pana.

WOJNICKI. Gdyby pani mogła zobaczyć swoją twarz, swoje ruchy... Jak pani się leni żyć! Ach, co za lenistwo!

JELENA. Ach, lenistwo i nuda! Wszyscy rugają mojego męża, wszyscy patrzą na mnie z politowaniem: nieszczęśnica, ma starego męża! To współczucie - o, jak ja to rozumiem! Jak to powiedział Astrow: wy wszyscy bez opamiętania wyrabujecie lasy i wkrótce nic na ziemi nie zostanie! Tak samo bez opamiętania gubicie człowieka i wkrótce dzięki wam na ziemi nie pozostanie ani

wierności, ani czystości, ani ofiarności. Dlaczego nie możecie patrzeć obojętnie na kobietę, jeśli nie jest wasza? Dlatego - ma rację ten doktor - że w was wszystkich siedzi wirus zniszczenia... Nie szkoda wam ani lasów, ani ptaków, ani kobiet, ani siebie nawzajem...

WOJNICKI. Nie lubię tej filozofii!

(Pauza)

JELENA. Ten doktor ma znużoną, nerwową twarz. Ciekawa twarz. Soni, ewidentnie, podoba się, jest w nim zakochana i ja ją rozumiem. Widziałam go już trzy razy, ale ja jestem nieśmiała, ani razu nie porozmawiałam z nim jak trzeba, nie spojrzałam życzliwym okiem. Pomyślał, że jestem zła. Zapewne dlatego, Iwanie, tacy z nas przyjaciele, że oboje jesteśmy gnuśni, nudni ludzie! Gnuśni! Niech pan tak na mnie nie patrzy, nie lubię tego.

WOJNICKI. A mogę inaczej patrzeć, skoro kocham panią? Pani jest moim szczęściem, życiem, moją młodością! Ja wiem, szanse na odwzajemnienie są znikome, równe zeru, ale nic mi nie trzeba, proszę mi tylko pozwolić patrzeć na panią, słuchać głosu...

JELENA. Cicho, ktoś może usłyszeć! *(Idą do domu)*

WOJNICKI *(idąc za nią)*. Proszę mi pozwolić mówić o miłości i nie przeganiać mnie, już to będzie dla mnie ogromnym szczęściem...

JELENA. To męczące... *(Oboje wchodzi do domu)*

(Tielegin uderza w struny i gra polkę; Maria Wojnicka zapisuje coś na marginesie broszury)

Kurtyna

AKT DRUGI

Jadalnia w domu Sieriebriakowa. Noc. Słyszc, jak w ogrodzie kołacze stróż nocny.

Sieriebriakow (*siedzi w fotelu przed otwartym oknem i drzemie*); Jelena (*obok niego również drzemie*).

SIERIEBRIAKOW (*ocknąwszy się*). Kto tu? Soniu, to ty?

JELENA. To ja.

SIERIEBRIAKOW. Ty, Lenoczko... Nieznośny ból!

JELENA. Pled spadł ci na podłogę. (*Otula mu kolana*) Zamknę okno, Aleksandrze.

SIERIEBRIAKOW. Nie, duszno mi... Zdrzemnąłem się i miałem sen, że lewa noga mi zdrętwiała. Zbudził mnie dokuczliwy ból. Nie, to nie podagra, prędzej reumatyzm. Która godzina?

JELENA. Dwadzieścia po dwunastej.

(*Pauza*)

SIERIEBRIAKOW. Poszukaj rano w bibliotece Batuszkowa. Powinniśmy go mieć.

JELENA. Co?

SIERIEBRIAKOW. Rano poszukaj Batuszkowa. O ile pamiętam, mieliśmy go. Ale dlaczego mi tak ciężko oddychać?

JELENA. Zmęczony jesteś. Drugą noc nie śpisz.

SIERIEBRIAKOW. Podobno Turgieniew z podagry dostał dusznicę bolesnej. Boję się, że będę miał to samo. Przeklęta, odrażająca starość. Diabli ją nadali! Kiedy się zestarzałem, poczułem wstręt do siebie. Was wszystkich mierzi mój widok.

JELENA. Mówisz o swojej starości takim tonem, jakbyśmy to my byli winni, że jesteś stary.

SIERIEBRIAKOW. Przecież tobie pierwszej obmierzłem. *(Jelena odchodzi i siada nieco dalej)*
Oczywiście, masz rację. Nie jestem głupi i rozumiem. Jesteś młoda, zdrowa, piękna, chcesz żyć, a ja stary, prawie trup. Cóż? Myślisz, że nie rozumiem? Oczywiście, głupio, że ciągle żyję. Ale chwila, wkrótce uwolnię was od siebie. Już długo nie pociągnę.

JELENA. Jestem u kresu sił... na Boga, zamilcz.

SIERIEBRIAKOW. Wychodzi na to, że przeze mnie wszyscy są u kresu sił, nużą się, marnują młodość, ja jeden zadowolony i rozkoszuję się życiem. No tak, naturalnie!

JELENA. Milcz! Zadręczyłeś mnie!

SIERIEBRIAKOW. Zadręczyłem wszystkich. Naturalnie.

JELENA *(przez łzy)*. Nie wytrzymam! Powiedz, czego ty chcesz ode mnie?

SIERIEBRIAKOW. Nic.

JELENA. To milcz. Proszę.

SIERIEBRIAKOW. Dziwna rzecz, odezwie się Iwan albo ta stara idiotka Maria - i nic, wszyscy słuchają, ale niech ja powiem choć słowo, od razu wszyscy czują się nieszczęśliwi. Nawet mój głos ich mierzi. No załóżmy, wstrętny, egoista, despota - ale czy ja nawet na stare lata nie mam jakiegoś prawa do egoizmu? Czy sobie nie zasłużyłem? Pytam się, czyż ja nie mam prawa do spokojnej starości, do szacunku dla siebie?

JELENA. Nikt nie kwestionuje twoich praw. *(okno stuka na wietrze)* Wiatr się zerwał, zamknę okno. *(Zamyka)* Zaraz będzie deszcz. Nikt nie kwestionuje twoich praw.

(Pauza; stróż nocny kołacze i śpiewa)

SIERIEBRIAKOW. Całe życie pracować dla nauki, przyzwyczać się do gabinetu, do audytorium, do szacownych kolegów - i nagle, ni z tego, ni z owego ocknąć się w tym grobowcu, dzień w dzień widzieć tych głupich ludzi, słuchać banalnych rozmów... Ja chcę żyć, lubię sukces, lubię popularność, gwar, a tutaj - jak na zesłaniu. Bez ustanku tęsknić za przeszłością, obserwować sukcesy innych, bać się śmierci... Nie mogę! Brak mi sił! A tu jeszcze nie chcą mi wybaczyć starości!

JELENA. Poczekaj, bądź cierpliwy: pięć-sześć lat i ja będę stara.

(Wchodzi Sonia)

SONIA. Tato, sam kazałeś posłać po doktora Astrowa, a kiedy przyjechał, nie chcesz go przyjąć. To nietaktowne. Na próżno fatygowaliśmy człowieka...

SIERIEBRIAKOW. A na co mi twój Astrow? Tyle się zna na medycynie, co ja na astronomii.

SONIA. Trudno zwoływać całe konsylium do twojej podagry.

SIERIEBRIAKOW. Z tym opętańcem nawet rozmawiać nie będę.

SONIA. Jak sobie chcesz. *(Siada)* Wszystko mi jedno.

SIERIEBRIAKOW. Która godzina?

JELENA. Prawie pierwsza.

SIERIEBRIAKOW. Duszno... Soniu, podaj mi krople ze stołu...

SONIA. Już. *(Podaje krople)*

SIERIEBRIAKOW *(z rozdrażnieniem)*. Oj, nie te. O nic nie można poprosić!

SONIA. Błagam, nie kapryś. Może komuś to się podoba, ale mnie oszczędź z łaski swojej! Ja tego nie lubię. I nie mam kiedy, muszę jutro rano wstać, mam sianokosy.

(Wchodzi Wojnicki w szlafroku, ze świecą)

WOJNICKI. Burza nadciąga. *(Błyskawica)* O, proszę! Helene i Sonia, kładźcie się spać, ja was zastąpię.

SIERIEBRIAKOW *(przestraszony)*. Nie, nie! Nie zostawiajcie mnie z nim! Nie. On mnie zagada na amen!

WOJNICKI. Ale trzeba im dać odpocząć. Nie śpią już drugą noc.

SIERIEBRIAKOW. Niech idą spać, ale ty też idź. Dziękuję ci. Błagam. W imię naszej minionej przyjaźni, nie protestuj. Potem porozmawiamy.

WOJNICKI *(z uśmiechem)*. Minionej naszej przyjaźni... Minionej...

SONIA. Wujku, milcz.

SIERIEBRIAKOW *(do żony)*. Moja droga, nie zostawiaj mnie z nim! On mnie zagada na amen.

WOJNICKI. To się staje nawet zabawne.

(Wchodzi Marina ze świecą)

SONIA. Połóż się, nianiu. Późno już.

MARINA. Samowar ze stołu nie sprzątnięty. Jak tu się kłaść.

SIERIEBRIAKOW. Wszyscy nie śpią, padają z sił, ja jeden upajam się szczęściem.

MARINA *(podchodzi do Sieriebriakowa, czule)*. Co, kochanie? Boli? A mnie samej nogi ciężą, tak ciężą. *(Poprawia pled)* Zadawniona choroba. Świętej pamięci Wiera Pietrowna, rodzicielka Sonieczki, czasami całe noce nie spała, zamartwiała się... Oj, bardzo pana kochała...

(Pauza)

Starzy jak dzieci, chcą, żeby ich ktoś pożałował, a starego nikt nie żałuje. *(Całuje Sieriebriakowa w ramię)* Chodźmy, połóżysz się... Chodźmy, kochanie... Zaparzę ci herbaty lipowej, nogi ci rozgrzeję... pomodłę się za ciebie...

SIERIEBRIAKOW *(wzruszony)*. Chodźmy, Marino.

MARINA. A mnie samej nogi tak ciężą, tak ciężą. *(Prowadzi go razem z Sonią)* Wiera Pawłowna, bywało, zamartwia się, płacze... Ty, Soniuszka, wtedy byłaś jeszcze malutka, głupiutka... Chodź, chodź, kochanie...

(Sieriebriakow, Sonia i Marina wychodzą)

JELENA. Zadręczył mnie. Ledwo stoję na nogach.

WOJNICKI. On panią, a ja sam siebie. Trzecią noc już nie śpię.

JELENA. Nie ma szczęścia w tym domu. Pana matka nienawidzi wszystkiego oprócz swoich broszur i profesora; profesor poirytowany, mnie nie ufa, pana się boi; Sonia zła na ojca, zła na mnie i nie rozmawia ze mną już dwa tygodnie; pan nienawidzi męża i otwarcie gardzi własną matką; ja jestem rozdrażniona i dzisiaj ze dwadzieścia razy zbierało mi się na płacz. Nie ma szczęścia w tym domu.

WOJNICKI. Zostawmy filozofię!

JELENA. Iwanie Pietrowiczu, jest pan wykształcony i mądry, i chyba powinien pan rozumieć, że świat nie ginie przez zbirów, przez pożary, ale przez nienawiść, wrogość, przez wszystkie drobne swary... Pan powinien nie gderać, ale godzić wszystkich.

WOJNICKI. Najpierw pogódź mnie z samym sobą. Droga moja... *(przytula jej dłoń)*

JELENA. Nie! *(zabiera rękę)* Proszę odejść!

WOJNICKI. Zaraz spadnie deszcz i wszystko w naturze odświeży się i odetchnie swobodnie. Mnie jednego burza nie odświeży. Dzień i noc, niczym mara, dusi mnie myśl, że życie moje zaprzepaszczone bezpowrotnie. Przeszłości nie mam, przeszastałem ją głupio na bzdury, a terażniejszość przeraża swoją niedorzecznością. Proszę, to moje życie i moja miłość: gdzie mam je podziąć, co z nimi zrobić? Uczucie moje ginie nadaremnie, jak promień słońca w czeluści, i ja sam ginę.

JELENA. Kiedy pan mówi o swojej miłości, jakoś tępieję i sama nie wiem, co mówić. Przepraszam, nic nie mogę panu powiedzieć. *(Chce wyjść)* Dobranoc.

WOJNICKI *(zastępuje jej drogę)*. Gdyby pani wiedziała, jak ja cierpię na myśl, że obok mnie w tym samym domu ginie inne życie - pani życie! Na co pani czeka? Jaka przekłeta filozofia przeszkadza pani? Niech pani zrozumie, niech pani...

JELENA *(patrzy na niego uważnie)*. Pan jest pijany!

WOJNICKI. Możliwe, możliwe...

JELENA. Gdzie doktor?

WOJNICKI. Tam... nocuje u mnie. Możliwe, możliwe... Wszystko możliwe!

JELENA. I dzisiaj pan pił? Po co to?

WOJNICKI. Przynajmniej do życia podobne... Nie przeszkadzaj mi, Helene!

JELENA. Dawniej pan nigdy nie pił i nigdy tak dużo nie mówił. Niech pan idzie spać! Nuży mnie pan.

WOJNICKI *(przytula jej dłoń)*. Moja kochana... cudowna!

JELENA *(z irytacją)*. Zostaw mnie! To, w końcu, ohydne! *(Wychodzi)*

WOJNICKI (*sam*). Poszła...

(*Pauza*)

Dziesięć lat temu spotykałem ją u zmarłej siostry. Miała siedemnaście lat, a ja trzydzieści siedem. Czemu wtedy nie zakochałem się w niej i nie oświadczyłem? Przecież to było możliwe! I byłaby teraz moją żoną... Tak... Teraz zbudziłyby nas burza; wystraszyłby ją grzmot, a ja obejmowałbym ją i szeptał: „nie bój się, jestem tu”. O, rozkoszne myśli, jak dobrze, nawet się śmieję... ale, mój Boże, myśli się płaczą w głowie... Czemu jestem stary? Czemu ona mnie nie rozumie? Jej retoryka, leniwa moralność, bzdurne, leniwe myśli o ginącym świecie - wszystkim tym głęboko gardzę!

(*Pauza*)

O, jak się zawiodłem! Uwielbiałem tego profesora, tego żalostnego podagryka, pracowałem jak wół na niego! Ja i Sonia wyciskaliśmy z tego majątku ostatnie soki; jak kułacy woziliśmy na handel olej, groch, ser, sami nie dojadaliśmy, aby z groszy i kopiejek zbierać tysiące i posyłać mu. Byłem dumny z niego i jego nauki, żyłem, oddychałem nim! Wszystko, co napisał i co głosił, wydawało mi się genialne... Boże, a teraz? Emerytura! I teraz widać cały bilans jego życia: nie pozostanie z niego ani jednej strony materiału, jest zupełnie nieznan, jest niczym! Bańką mydlaną! A ja się zawiodłem... widzę - głupio zawiodłem...

(*Wchodzi Astrow w surducie bez kamizelki i bez krawata, podpity; za nim Tielegin z gitarą*)

ASTROW. Graj!

TIELEGIN. Wszyscy śpią.

ASTROW.

Graj!

(*Tielegin cicho przygrywa. Astrow do Wojnickiego*)

Sam jesteś tutaj? Damy poszły? (*Cicho podśpiewuje wzięwszy się pod boki*) „Ustąp chata, na bok piec, bo gospodarz chce tu lec...” A mnie burza obudziła. Porządnie popadało. Która to godzina?

WOJNICKI. A diabli wiedzą.

ASTROW. Chyba słyszałem głos Jeleny.

WOJNICKI. Była tu przed chwilą.

ASTROW. Rozkoszna kobieta. (*Ogląda fiołki na stole*) Lekarstwa. Jakich tu nie ma receptur! I char-kowskie i moskiewskie, i tulskie... Wszystkie miasta zadreńczył swoją podagrą. Czy on choruje, czy udaje?

WOJNICKI. Choruje.

(*Pauza*)

ASTROW. Coś taki dzisiaj markotny? Profesora ci żal, czy co?

WOJNICKI. Zostaw mnie.

ASTROW. To może w profesorowej się zakochałeś?

WOJNICKI. To przyjaciółka.

ASTROW. Już?

WOJNICKI. Co znaczy „już”?

ASTROW. Kobieta może być przyjaciółką mężczyzny tylko w tej kolejności: z początku znajoma, następnie kochanka, a dopiero potem przyjaciółka.

WOJNICKI. Prymitywna filozofia.

ASTROW. Jak? Tak... Trzeba przyznać - staję się prymitywny. Widzisz, jestem pijany. Zwykle upi-jam się tak raz na miesiąc. A w takim stanie, robię się skrajnie arogancki i bezczelny. Na nic nie zwracam uwagi! Przystępuję do najtrudniejszych operacji i przeprowadzam je doskonale; snuję najbardziej rozległe plany na przyszłość; i wtedy już nie wydaję się sobie cudakiem, i wierzę, że przynoszę ludzkości olbrzymie korzyści... olbrzymie! I wtedy mam własny system filozoficzny i wy wszyscy, bracia, wydajecie mi się takimi zuczkami... mikrobracia. (*Do Tielegina*) Graj, Sękacz!

TIELEGIN. Serdeńko, ja bym ci nieba przychylił, ale zrozum - cały dom śpi!

ASTROW. Graj! (*Tielegin cicho przygrywa*) Wypić by trzeba. Chodźmy, tam, zdaje się, jeszcze kon-iak został. A jak zacznie świtać, pojedziemy do mnie. Pasi? Mam felczera, który nigdy nie powie „pasuje”, tylko „pasi”. Straszny oszust. To co, pasi? (*Widząc wchodzącą Sonię*) Przepraszam, jestem bez krawata. (*szybko wychodzi; Tielegin za nim*)

SONIA. A ty, wujku, znowu popiłeś z doktorem. W korcu maku się szukali i dobrali. No, tamten to zawsze taki, ale ty, czemu? W twoim wieku to naprawdę nie wypada.

WOJNICKI. Wiek tu nie ma nic do rzeczy. Kiedy nie ma prawdziwego życia, żyje się mirażami. Lepsze to, niż nic.

SONIA. Siano całe skoszone, dzień w dzień leje, wszystko gnije, a ty uprawiasz miraż. Całkiem zaniedbałeś gospodarstwo... Ja jedna pracuję, całkiem z sił opadam... *(Przestraszona)* Wujku, masz łzy w oczach!

WOJNICKI. Jakie łzy? Nic nie ma... bzdury... Spojrzałaś teraz na mnie, jak twoja zmarła matka. Kochana moja... *(Żarliwie całuje jej dłonie i twarz)* Siostra moja... kochana siostra moja... Gdzie teraz jest? Gdyby ona wiedziała! Ach, gdyby ona wiedziała!

SONIA. Co? Wujku, co wiedziała?

WOJNICKI. Ciężko, niedobrze... Nic, nic,... potem... Nic, nic... Pójdę... *(Wychodzi)*

SONIA *(puka do drzwi)*. Michaile Lwowiczu! Nie śpi pan? Można na chwilę?

ASTROW *(za drzwiami)*. Już! *(Po chwili wchodzi: już w kamizelce i z krawatem)* Słucham?

SONIA. Niech pan sam pije, skoro to pana nie brzydzi, ale błagam, niech pan nie daje pić wujkowi. Jemu szkodzi.

ASTROW. Dobrze. Nie będziemy więcej pili.
(Pauza)

Zaraz jadę do siebie. Słów na wiatr nie puszczam. Zanim konie zaprzęgną, będzie świt.

SONIA. Deszcz pada. Poczekajmy do rana.

ASTROW. Burza przejdzie bokiem. Pojadę. I proszę, niech mnie pani więcej nie wzywa do ojca. Ja mówię - podagra, a on - reumatyzm; ja proszę leżeć, on siedzi. A dzisiaj to nawet nie zechciał ze mną rozmawiać.

SONIA. Rozpieszczony. *(Szuka w kredensie)* Zje pan coś?

ASTROW. Tak, chętnie.

SONIA. Lubię jeść w nocy. W kredensie chyba co nieco zostało. Podobno on miał w życiu wielkie powodzenie u kobiet i one go tak rozpieściły. Proszę ser.

(Stoją przy kredensie i jedzą)

ASTROW. Nic dzisiaj nie jadłem, tylko piłem. Pani ojciec ma trudny charakter. *(Wyjmuje z kredensu butelkę)* Można? *(Wypija kieliszek)* Nie ma tu nikogo i możemy mówić wprost. Wie pani, czuję, że w waszym domu nie wytrzymałbym nawet miesiąca, udusiłbym się w tej atmosferze... Pani ojciec, cały zatopiony w swojej podagrze i książkach, wujek Wania z chandrą, babcia, w końcu, macocha...

SONIA. Co, macocha?

ASTROW. Człowiek wszystko powinien mieć piękne: i twarz, i ubranie, i duszę, i myśli. Ona jest piękna, bezsprzecznie, ale... przecież ona tylko je, śpi, chodzi, urzeka nas wszystkich swoją urodą - i tyle. Nie ma żadnych obowiązków, pracują na nią inni... Prawda? A próżne życie nie może być czyste.

(Pauza)

Zresztą, może traktuję to zbyt kategorycznie. Nie jestem zadowolony z życia, tak samo jak wujek Wania, i obaj stajemy się tetrykami.

SONIA. To pan jest niezadowolony z życia?

ASTROW. Ogólnie życie kocham, ale nasze życie, życie peryferyjne, rosyjskie, filisterskie - nie znoszę go i pogardzam ze wszystkich sił duszy. A co się tyczy mojego własnego, osobistego życia, to naprawdę, nie ma w nim nic dobrego. Widzi pani, kiedy się ciemną nocą przedziera przez las i nagle w oddali zobaczy światełko, to nie zauważa się ani zmęczenia, ani ciemności, ani kłujących gałęzi, które biją po twarzy... Pracuję - pani to wie - jak nikt inny w powiecie, los nie szczędzi mi ciosów bez ustanku, cierpię chwilami nie do zniesienia, ale nie widzę przed sobą żadnego światełka. Niczego już nie oczekuję dla siebie, ludzi nie lubię... Od dawna już nikogo nie kocham.

SONIA. Nikogo?

ASTROW. Nikogo. Trochę czułości mam dla waszej niańki - pamięć wieczna i serdeczna. Chłopi są strasznie jednoracy: ciemni, żyją w brudzie, a z inteligencją trudno się porozumieć. Nuży mnie. Wszyscy oni, nasi dobrzy znajomi, płytko myślą, płytko czują i nie widzą dalej czubka nosa - no zwyczajnie są głupi. A ci nieco mądrzejsi i nieco wybitniejsi - histeryzują, stłamszeni przez analizę, przez refleksje... Jojczą, zieją nienawiścią, chorobliwie szkalują, podchodzą do człowieka z boku, patrzą na niego z ukosa i wyrokują: „O, to jest psychopata!” albo „Powtarza banały!” A kiedy nie wiedzą, jaką etykietę przylepić mi na czole, to rzucają: „O, to dziwny człowiek, dziwny!” Kocham las - to dziwne, nie jem mięsa - to też dziwne. Bezpośredniego, serdecznego stosunku do przyrody i do ludzi już nie ma... Nie ma i już! *(Chce wypić)*

SONIA *(powstrzymuje go)*. Nie, proszę, błagam, niech pan nie pije więcej.

ASTROW. Dlaczego?

SONIA. To do pana tak nie pasuje! Pan jest wytworny, ma taki czuły głos... Więcej, pan, jak nikt z osób, które znam, jest wspaniały. Dlaczego pan chce być podobny do zwyczajnych ludzi, którzy piją i grają w karty? O, niech pan tego nie robi, błagam! Pan zawsze mówi, że ludzie nie tworzą, tylko niszczą to, co im dano z niebios. Dlaczego, dlaczego więc pan niszczy samego siebie? Nie wolno, nie wolno, błagam, zaklinam.

ASTROW (*podaje jej rękę*). Nie piję więcej.

SONIA. Niech mi pan da słowo.

ASTROW. Słowo honoru.

SONIA (*mocno ściska jego rękę*). Dziękuję!

ASTROW. Basta! Wytrzeźwiałem. Widzi pani, jestem już zupełnie trzeźwy i taki pozostanę do końca moich dni. (*Patrzy na zegarek*) Zatem, kontynuując. Powtarzam: mój czas już minął, dla mnie za późno... Postarzałem się, zaharowałem, spospoliciałem, stępiły się wszystkie emocje i myślę, że nie mógłbym już przywiązać się do człowieka. Nikogo nie kocham i... już nie pokocham. Co mnie jeszcze porywa - to piękno. Nie jestem na to obojętny. Myślę sobie, że gdyby Jelena zechciała, w jednej chwili mogłaby mi zawrócić w głowie... Ale to przecież nie miłość, nie przywiązanie... (*zakrywa oczy ręką, wstrząsa nim dreszcz*)

SONIA. Co panu jest?

ASTROW. Nic... Przed Wielkanocą chory mi umarł pod chloroformem.

SONIA. Czas zapomnieć o tym.

(*Pauza*)

Michaił, niech mi pan powie... Gdybym miała przyjaciółkę albo młodszą siostrę i gdyby pan się dowiedział, że ona... no, dajmy na to, kocha pana, to jak by pan na to zareagował?

ASTROW (*wzruszając ramionami*). Nie wiem. Zapewne nijak. Dałbym jej do zrozumienia, że nie mogę jej pokochać... i głowę mam nie tym zajęta. No, chciał nie chciał, ale jak mam jechać, to czas najwyższy. Do widzenia, słoneczko, inaczej do rana nie skończymy. (*Ściska jej rękę*) Przejdę przez salon, jeśli wolno, boję się, że mnie pani wujek zatrzyma.

(*Wychodzi*)

SONIA (*sama*). Nic mi nie odpowiedział... Jego dusza i serce nadal są dla mnie tajemnicą, dlaczego więc czuję się taka szczęśliwa? (*Śmieje się ze szczęścia*) Powiedziałam mu: pan jest wytworny, szlachetny, pan ma taki czuły głos... Czy to nie wyszło głupio? Głos jego wibruje, pieści... czuję go w powietrzu... a kiedy mu powiedziałam o młodszej siostrze, nie zrozumiał... (*załamując ręce*) Jakie to straszne, że jestem nieładna! Jakie straszne! A wiem, że jestem nieładna, wiem, wiem... Zeszłej niedzieli, kiedy wychodziliśmy z cerkwi, słyszałam rozmowę o mnie, i jakaś kobieta powiedziała: „Ona jest dobra, wielkoduszna, tylko szkoda, że taka nieładna”... Nieładna...

(*Wchodzi Jelena*)

JELENA (*otwiera okna*). Burza ucichła. Jakie rześkie powietrze! (*Pauza*) Gdzie doktor?

SONIA. Pojechał. (*Pauza*)

JELENA. Sophie!

SONIA. Co?

JELENA. Jak długo będziemy się dąsać? Nie zrobiłyśmy sobie nic złego. Czemu mamy być wrogami? Dostyc tego...

SONIA. Ja sama chciałam... (*Obejmuje ją*) Dostyc tych złości.

JELENA. I wspaniale.

(*Obie wzruszone*)

SONIA. Tata się położył?

JELENA. Nie, siedzi w salonie... Nie rozmawiamy ze sobą całymi tygodniami i Bóg wie z jakiego powodu... (*widząc otwarty kredens*) Co to?

SONIA. Doktor jadł kolację.

JELENA. I wino jest... To wypijmy bruderszaft.

SONIA. Tak.

JELENA. Z jednego kieliszka... (*Nalewa*) Tak lepiej. Czyli - na „ty”?

SONIA. Na „ty”.

(Piją i całują się)

Już dawno chciałam się pogodzić, ale jakoś się krępowałam... *(Płacze)*

JELENA. Czego płaczesz?

SONIA. Nic, nic, ja tak...

JELENA. No, już, już... *(Płacze)* Cudaczka, też się rozplakałam...
(Pauza)

Ty się na mnie złościś za to, że wyszłam za twojego ojca niby z wyrachowania... Jeżeli wierzysz przysięgom - to przysięgam ci, że wyszłam za niego z miłości. Zadurzyłam się w uczonym i sławnym człowieku. Miłość była nieprawdziwa, sztuczna, ale przecież wtedy wydawało mi się, że jest prawdziwa. Nie jestem winna. A ty od samego wesela nie przestałaś mnie piętnować swoimi mądrymi, podejrzliwymi oczyma.

SONIA. No już zgoda! Zgoda! Zapomnijmy.

JELENA. Nie wolno tak patrzeć - nie do twarzy ci z tym. Trzeba wszystkim wierzyć - inaczej nie da się żyć.

(Pauza)

SONIA. Powiedz mi szczerze, jak przyjaciółka... Jesteś szczęśliwa?

JELENA. Nie.

SONIA. Wiedziałam to. Jeszcze jedno pytanie. Powiedz otwarcie - chciałabyś mieć młodego męża?

JELENA. Jakie z ciebie jeszcze dziecko. Jasne, że bym chciała! *(Śmieje się)* No, pytaj się jeszcze, pytaj...

SONIA. Podoba ci się doktor?

JELENA. Tak, bardzo.

SONIA *(śmieje się)*. Mam głupią minę... tak? On już wyszedł, a ja wciąż słyszę jego głos i jego kroki, a spojrzę na ciemne okno i widzę jego twarz. Pozwól mi się wygadać... Ale nie mogę mówić tak głośno, wstydzę się. Chodźmy do mojego pokoju, tam porozmawiamy. Wydaję ci się głupia? Przyznaj się... Powiedz mi coś o nim.

JELENA. Ale co?

SONIA. Jest mądry... On wszystko umie, wszystko może... On i leczy, i sadi lasy...

JELENA. To nie chodzi o las ani medycynę... Zrozum, skarbie, on ma talent! A ty wiesz, co znaczy talent? Odwaga, otwarta głowa, wielki rozmach... Posadzi krzaczek, i już zamyśla, co będzie z tego za tysiąc lat, już mu się roi szczęście ludzkości. Tacy ludzie to rzadkość, trzeba ich kochać... Pije, bywa arogancki - no i co z tego? W Rosji człowiek z talentem nie może być czyściuchny. Sama pomyśl, jakie on ma życie, ten doktor? Błoto na drogach nie do przebycia, mrozy, zamiecie, ogromne połacie, prostactwo, dzicz, dokoła nędza, choroby - w takich warunkach temu, kto pracuje i walczy z dnia na dzień, trudno jest, dobijając czterdziestki, zachować czystość i trzeźwość. *(Całuje ją)* Życzę ci z głębi duszy, zasługujesz na szczęście... *(Wstaje)*

A ja jestem bezbarwna, postać epizodyczna... I w muzyce, i w domu męża, we wszystkich romansach - wszędzie, jednym słowem, byłam tylko postacią epizodyczną. W zasadzie, Soniu, jeżeli się zastanowić, to jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa! *(Wzruszona chodzi po scenie)* Nie ma dla mnie szczęścia na tym świecie. Nie! Co się śmiejesz?

SONIA *(śmieje się zasłaniając twarz)*. Jestem taka szczęśliwa... szczęśliwa!

JELENA. Mam ochotę pograć... Zagrałabym teraz.

SONIA. Zagraj. *(Obejmuje ją)* Nie mogę spać... Zagraj!

JELENA. Zaraz. Twój ojciec nie śpi. Kiedy niedomaga, irytuje go muzyka. Idź, zapytaj. Jeśli pozwoli, to zagram. Idź.

SONIA. Zaraz.

(Wychodzi; w ogrodzie stróż kołacze)

JELENA. Dawno już nie grałam. Będę grać i płakać, płakać jak głupia. *(Przez okno)* To ty stukasz, Jefimie?

GŁOS STRUŻA. Ja!

JELENA. Nie stukaj, pan niedomaga.

GŁOS STRUŻA. Już idę. *(Poświstując)* Ej, Burek, Małolat! Burek!

(*Pauza*)

SONIA (*wraca*). Nie wolno!

Kurtyna

AKT TRZECI

Salon w domu Sieriebiakowa. Troje drzwi: na prawo, na lewo i pośrodku. Dzień.

Wojnicki i Sonia (*siedzą*). Jelena (*chodzi po scenie zamyślona*).

WOJNICKI. Herr Professor był łaskaw wyrazić życzenie, abyśmy się zebrali dzisiaj w tym salonie o godzinie pierwszej. (*Patrzy na zegarek*) Za kwadrans pierwsza. Pragnie coś obwieścić światu.

JELENA. Zapewne ma jakąś sprawę.

WOJNICKI. Żadnych spraw nie ma. Pisze dyrdymały, zrzędzi i zazdrości, nic więcej.

SONIA (*tonem pełnym wyrzutu*). Wujku!

WOJNICKI. No, no, przepraszam. (*Wskazuje na Jelene*) Piękny widok: chodzi i z lenistwa się śłania. Bardzo ładnie! Bardzo!

JELENA. Cały dzień pan skrzeczy, ciągle skrzeczy - że to panu nie zbrzydni. (*znudzona*) Umieram z nudów, nie wiem, co mam robić.

SONIA (*wzruszając ramionami*). A mało to roboty? Gdybyś tylko chciała.

JELENA. Na przykład?

SONIA. Zajmij się gospodarstwem, ucz, lecz. Mało to? Póki tu ciebie i taty nie było, jeździliśmy z wujkiem Wanią na targ sprzedawać mąkę.

JELENA. Nie umiem. I nieciekawe. To tylko w powieściach ideowych uczy się i leczy chłopów, a jak ja ni z tego, ni z owego pójdę leczyć albo uczyć?

SONIA. A ja właśnie nie rozumiem, jak można nie pójść i nie uczyć? Poczekaj, też przywykniesz. (*Obejmuje ją*) Nie nudź się, kochana. (*Śmiejąc się*) Nudzisz się, nie możesz sobie znaleźć miejsca, a nuda i lenistwo są zaraźliwe. Zobacz: wujek Wania nic nie robi, tylko snuje się za tobą jak cień błędny, i ja zostawiłam swoje sprawy i przybiegłam do ciebie, żeby porozmawiać. Rozleniwiłam się, nie mogę! Doktor bywał dawniej u nas bardzo rzadko, raz na miesiąc, trudno go było uprosić, a teraz przyjeżdża codziennie, zaniedbał i swoje lasy, i medycynę. Jesteś czarodziejką.

WOJNICKI. Co się pani dręczy? (*z ożywieniem*) No, kochana moja, boska, rusz głową! W żyłach pani płynie rusałcza krew, więc bądź rusałką! Niech pani choć raz w życiu sobie pozwoli i zakocha się w jakimś wodniku czym prędzej i po same uszy - chlup z głową w toń, a Herr Professor i my wszyscy - tylko usta rozdziawimy!

JELENA (*ze złością*). Niech mnie pan zostawi w spokoju! Jakie to okrutne! (*Chce odejść*)

WOJNICKI (*nie puszcza jej*). No, no radości moja, wybacz... Przepraszam. (*Całuje jej dłoń*) Zgoda.

JELENA. Przyzna pan, że anioł straciłby cierpliwość.

WOJNICKI. Na znak zgody i pojednania przyniosę pani zaraz bukiet róż; z samego rana dla pani przygotowałem... Jesienne róże - urocze, smutne róże...

(*Wychodzi*)

SONIA. Jesienne róże - urocze, smutne róże...

(*Obie patrzą w okno*)

JELENA. No i już wrzesień. Jakoś tu przezimujemy!

(*Pauza*)

Gdzie doktor?

SONIA. W pokoju wujka Wani. Coś pisze. Dobrze, że wujek Wania wyszedł, muszę porozmawiać z tobą.

JELENA. O czym?

SONIA. O czym? *(Opiera głowę na jej piersi)*

JELENA. No już, już... *(Gładzi jej włosy)* Już.

SONIA. Nie jestem ładna.

JELENA. Masz piękne włosy.

SONIA. Nie. *(Odwraca się, żeby spojrzeć w lustro)* Nie! Kiedy kobieta jest nieładna, to jej mówią: „masz piękne oczy, masz piękne włosy”... Kocham go już sześć lat, kocham go bardziej, niż własną matkę; każdą chwilę słyszę go, czuję uścisk jego dłoni; wpatruję się w drzwi, czekam, ciągle mi się zdaje, że on zaraz wejdzie. I widzisz, wciąż przychodzę do ciebie mówić o nim. Teraz bywa u nas co dzień, ale nie patrzy na mnie, nie widzi... To jest taka męka! Nie mam żadnej nadziei, nie, nie! *(Z rozpaczą)* O Boże, daj mi siłę!... Całą noc się modliłam... Często podchodzę do niego, zagaduję, patrzę mu w oczy... Nie mam honoru, nie panuję nad sobą... Nie wytrzymałam i wczoraj wyznałam wujkowi Wani, że jestem zakochana... I cała służba wie, że go kocham. Wszyscy wiedzą.

JELENA. A on?

SONIA. Nie. On mnie nie zauważa.

JELENA *(w zamyśleniu)*. Dziwny człowiek... Wiesz co? Pozwól, porozmawiam z nim... Ostrożnie, półsłówkiem...

(Pauza)

Naprawdę, ile można żyć w niepewności... Pozwól!

(Sonia potakująco kiwa głową)

I wspaniale. Kocha czy nie kocha - nietrudno się dowiedzieć. Nie martw się, słonko, nie obawiaj się - wybadam go delikatnie, on sam nie zauważy. Byle się dowiedzieć - tak czy nie?

(Pauza)

Jeżeli nie, to niech tu nie przyjeżdża. Tak?

(Sonia potakuje głową)

Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Nie będziemy tego odkładać, zaraz go wybadamy. Planował pokazać mi jakieś szkice... Idź, powiedz mu, że chcę go zobaczyć.

SONIA (*bardzo wzruszona*). Powiesz mi całą prawdę?

JELENA. Tak, naturalnie. Mnie się zdaje, że prawda, nawet najgorsza, nie jest tak straszna jak niepewność. Zaufaj mi, skarbie.

SONIA. Tak, tak... Powiem mu, że chcesz zobaczyć jego szkice... (*Idzie i zatrzymuje się przy drzwiach*) Nie, niepewność jest lepsza... Jednak nadzieja...

JELENA. Co ty?

SONIA. Nie, nic. (*Wychodzi*)

JELENA (*sama*). Nie ma nic gorszego, niż znać cudzą tajemnicę i nie móc nic poradzić. (*Zamyślona*) On jej nie kocha - to jasne, ale dlaczego nie miałyby się z nią ożenić? Jest brzydka, ale dla wiejskiego lekarza w jego wieku byłaby wspaniałą żoną. Mądra, taka dobra, czysta... Nie, to nie to, nie to...

(*Pauza*)

Rozumiem tę biedną dziewczynę. W tej straszliwej nudzie, kiedy zamiast ludzi mającą wokoło jakieś szare plamy, słycać tylko same banały, kiedy nic innego nie robią tylko jedzą, piją, śpią, czasem przyjeżdża on, niepodobny do innych, przystojny, ciekawy, pociągający, jakby księżyc wschodził w ciemności... Poddać się czarowi takiego mężczyzny, zapomnieć się... Zdaje się, że sama się trochę zadurzyłam. Tak, bez niego mi smutno i uśmiecham się na myśl o nim... Ten wujek Wania mówi, że niby w moich żyłach płynie rusałcza krew. „Niech pani choć raz w życiu sobie pozwoli...” Hm? Może tak właśnie trzeba? Odlecieć jak wolny ptak od wszystkich was, waszych ospałych fizjonomii, rozmów, zapomnieć, że wy wszyscy istniejecie... Ale jestem tchórzliwa, nieśmiała... Sumienie mnie zamęczy... On bywa tutaj dzień w dzień, zgaduję po co, i już czuję się winna, gotowa paść przed Sonią na kolana, przeproszać i płakać...

ASTROW (*wchodzi z kartogramami*). Dzień dobry! (*ściska jej dłoń*) Chciała pani obejrzeć moje dzieło?

JELENA. Wczoraj obiecał mi pan pokazać swoje prace... Pan jest wolny?

ASTROW. O, tak. (*Rozkłada kartogram na stoliku do kart i przypina go*) Gdzie się pani urodziła?

JELENA (*pomagając mu*). W Petersburgu.

ASTROW. A kształciła się pani?

JELENA. W konserwatorium.

ASTROW. To chyba panią nie zainteresuje.

JELENA. Dlaczego? To prawda, wsi nie znam, ale sporo czytałam.

ASTROW. Tutaj w domu mam własny stół... W pokoju Iwana. Kiedy już się całkowicie zmęczę, tak do pełnego otępienia, to rzucam wszystko i biegnę tutaj, i zabawiam się tą historią godzinę, dwie... Iwan i Sofia stukają na liczydłach, a ja siedzę koło nich przy swoim biurku i gryzmołę, ciepło mi i spokojnie, świerszcz przygrywa. Ale na tę przyjemność pozwalam sobie nie za często, raz na miesiąc...

(Pokazując na kartogramie)

Teraz proszę tu spojrzeć. To jest obraz naszego powiatu, jaki był pięćdziesiąt lat temu. Ciemno- i jasnozielony kolor oznacza lasy. Połowa całej przestrzeni zajęta przez las. Gdzie na zielonym nanie-siona jest czerwona siatka, tam były łosie, sarny... Zaznaczam tutaj i florę, i faunę... Na tym jeziorze mieszkaly łabędzie, gęsi, kaczki i, jak mówią starzy, wszelkiego ptactwa było w bród, nieprzebrane mnóstwo: latały, niczym chmura. Oprócz wsi i wiosek widzi pani tu i ówdzie rozrzucone różne osady, chutorki, pustelnie starowierców, młyny wodne... Bydła rogatego i koni było multum. To widać po niebieskim kolorze. Na przykład, w tej gminie niebieski kolor nałożono gęsto; tutaj były całe tabuny i na każdą zagrodę wypadało po trzy konie.

(Pauza)

A teraz popatrzmy niżej. Tak było dwadzieścia pięć lat temu. Tutaj lasy zajmują już tylko jedną trzecią powierzchni. Saren już nie ma, ale są łosie. I zielony i niebieski kolor już bledsze. I tak dalej, i tak dalej. Przechodzimy do trzeciej części: dzisiejszy obraz powiatu. Zielony kolor widzimy gdzieś tam, ale nie gęsto, a małymi plamami; znikły łosie i łabędzie, i głuszce... Po dawnych osadach, chutorach, pustelniach i młynach nie ma śladu. W zasadzie to obraz stopniowej i niewątpliwej degeneracji, ewidentnie jeszcze jakieś 10 - 15 lat i nastąpi całkowita. Powie pani, że to wpływ cywilizacji, że stare życie naturalnie musiało ustąpić miejsca nowemu. Tak, zrozumiałe, gdyby na miejsce tych wyciętych lasów wytyczono szosy, tory kolejowe, gdyby tu stanęły wytwórnie, fabryki, szkoły - gdyby ludzie stali się tu zdrowsi, bogatsi, mądrzejsi - ale nic podobnego! W powiecie te same błota, komary, te same bezdroża, nędza, tyfus, dyfteryt, pożary... Tutaj mamy do czynienia z degeneracją na skutek niewspółmiernej walki o byt; to jest degeneracja na skutek zacofania, ciemnoty, zupełnego braku świadomości, kiedy skostniały, głodny, chory człowiek, ażeby ratować resztki życia, ażeby ocalić swoje dzieci - instynktownie, nieświadomie chwytają wszystko, czym tylko może

nasycić głód, ogrzać się - niszczy wszystko nie myśląc o jutrzejszym dniu... Zniszczono już niemal wszystko, a w zamian nie stworzono jeszcze niczego. *(Z chłodem)* Widzę po twarzy, że to panią nie interesuje.

JELENA. Mało z tego rozumiem...

ASTROW. Tu nie ma nic do rozumienia, po prostu nie interesuje.

JELENA. Mówiąc szczerze, moje myśli zaprzęta co innego. Przepraszam. Muszę odbyć z panem małe przesłuchanie i waham się, nie wiem, jak zacząć.

ASTROW. Przesłuchanie?

JELENA. Tak, przesłuchanie, ale... dość niewinne! Usiądźmy!

(Siadają)

Chodzi o pewną młodą osobę. Będziemy rozmawiali jak uczciwi ludzie, jak przyjaciele, bez niedomówień. Porozmawiamy i zapomnimy, o czym była mowa. Tak?

ASTROW. Tak.

JELENA. Chodzi o moją pasierbicę, Sonię. Podoba się panu?

ASTROW. Tak, szanuję ją.

JELENA. Podoba się panu jako kobieta?

ASTROW *(nie od razu)*. Nie.

JELENA. Jeszcze parę słów i koniec. Pan nic nie zauważył?

ASTROW. Nic.

JELENA *(bierze go za rękę)*. Pan jej nie kocha, widzę to po oczach... Ona cierpi... Niech pan to zrozumie... i przestanie tutaj bywać.

ASTROW *(wstaje)*. Czas mój już minął... No i nie ma kiedy... *(Wzrusza ramionami)* Kiedy mam?...
(Jest zmieszany)

JELENA. Fe, jaka nieprzyjemna rozmowa! Tak się przejęłam, czuję, jakbym dźwigała tysiąc pudów. Dzięki Bogu, skończyliśmy. Zapomnijmy, jakbyśmy nie rozmawiali wcale i... i niech pan wyjeżdża. Pan jest mądry, zrozumie pan...

(Pauza)

Nawet się zaczerwieńłam.

ASTROW. Gdyby pani mi o tym powiedziała miesiąc - dwa temu, to może bym jeszcze pomyślał... ale teraz... *(Wzrusza ramionami)* A jeżeli ona cierpi, to oczywiście... Tylko jednego nie rozumiem: po co pani to przesłuchanie? *(Patrzy jej w oczy i grozi palcem)* Sprytna pani!

JELENA. Co to znaczy?

ASTROW *(śmiejąc się)*. Spryciara! Powiedzmy, Sonia cierpi, chętnie w to wierzę, ale po co to pani przesłuchanie? *(Nie dając jej dojść do głosu, żywo)* Proszę, niech pani nie robi zdziwionej miny, pani świetnie wie, dlaczego bywam tutaj codziennie... Dlaczego i dla kogo bywam, świetnie pani to wie. Kochana drapieźnico, nie patrz tak na mnie, stary wróbel jestem...

JELENA *(zaskoczona)*. Drapieźnica? Nic nie rozumiem.

ASTROW. Piękna, puszysta łasica... Potrzebuje pani ofiary! Ja już cały miesiąc nic nie robię, wszystko zarzuciłem, zachłannie szukam pani - i pani się to strasznie podoba, strasznie... No co? Jestem pokonany, wiedziała to pani i bez przesłuchania. *(Skrzyżowawszy ramiona i z pochyloną głową)* Poddaję się. Bierz mnie, jedz mnie!

JELENA. Pan zwariował!

ASTROW *(śmieje się przez zęby)*. Pani jest nieśmiała...

JELENA. Jestem lepsza i szlachetniejsza, niż pan myśli! Przysięgam! *(Chce odejść)*

ASTROW *(zagradza jej drogę)*. Dziś wyjadę, nie będę tu bywać, ale... *(bierze ją za rękę, ogląda się)* gdzie się będziemy spotykać? Prędzej: gdzie? Ktoś tu może wejść, mów prędzej... *(Namiętnie)* Jaka cudowna, rozkoszna... Jeden pocałunek... Chcę pocałować tylko twoje pachnące włosy...

JELENA. Przysięgam panu...

ASTROW *(przerywając jej)*. Po co przysięgi? Nie trzeba przysięgać. Nie trzeba zbędnych słów... O, jaka piękna! Jakie ręce! *(Całuje jej ręce)*

JELENA. No już, niech pan nareszcie... idzie... *(Wyrywa ręce)* Pan się zapomniał.

ASTROW. Powiedz, no powiedz, gdzie się jutro spotkamy? *(Obejmuje ją w talii)* Widzisz, to nieuniknione, musimy się spotykać.
(całuje ją; w tej chwili wchodzi Wojnicki z bukietem róż i zatrzymuje się w drzwiach)

JELENA *(nie widząc Wojnickiego)*. Litości... niech mnie pan zostawi. *(Kładzie głowę na jego piersi)*
Nie! *(Chce odejść)*

ASTROW *(przytrzymuje ją za talię)*. Przyjedź jutro do leśniczówki... koło drugiej... Tak? Tak? Przyjedziesz?

JELENA *(widząc Wojnickiego)*. Niech mnie pan puści! *(Bardzo zmieszana odchodzi do okna)* To straszne.

WOJNICKI *(kładzie bukiet na krzesło, zdenerwowany ociera sobie chustką twarz i szyję pod kołnierzykiem)*. To nic... Tak... To nic...

ASTROW *(z przekąsem)*. Dzisiaj mamy, wielce szanowny panie Iwanie, niebrzydką pogodę. Z rana było pochmurno, zanosilo się na deszcz, a teraz słońce. Trzeba przyznać, jesień mamy piękną... i oziminy niezłe. *(Zwija kartogram w rurkę)* Jedno tylko: dni coraz krótsze... *(Wychodzi)*

JELENA *(szybko podchodząc do Wojnickiego)*. Pan się postara, zadziała z całą mocą perswazji, abyśmy z mężem wyjechali stąd jeszcze dziś! Słyszysz pan? Jeszcze dziś!

WOJNICKI *(wycierając twarz)*. Jak? No tak... bardzo dobrze... Helene, wszystko widziałem, wszystko...

JELENA *(nerwowo)*. Słyszysz pan? Muszę wyjechać stąd dziś jeszcze!

(Wchodzą Sieriebriakow, Sonia, Tielegin, Marina)

TIELEGIN. Ja sam, ekscelencjo, coś nie najlepiej się czuję... Już dwa dni jestem kiepski. Głowa coś tak...

SIERIEBRIAKOW. Gdzie są pozostali? Nie lubię tego domu. Jakiś labirynt. Dwadzieścia sześć obszernych pokoi, wszyscy się rozpierzną i nigdy nikogo nie można znaleźć. *(Dzwoni)* Poproście tutaj Marię Wasiljewną i Jelene.

JELENA. Jestem tutaj.

SIERIEBRIAKOW. Proszę, usiądźcie.

SONIA (*podchodząc do Jeleny, niecierpliwie*). Co on powiedział?

JELENA. Potem.

SONIA. Drżysz? Jesteś pobudzona? (*Uważnie wpatruje się w jej twarz*) Rozumiem... Powiedział, że przestanie tutaj bywać. Tak?

(*Pauza*)

Powiedz - tak?

(*Jelena potakująco kiwa głową*)

SIERIEBRIAKOW (*do Tielegina*). Z niedomaganiem - to jeszcze można się pogodzić, ale czego nie mogę znieść, to wiejskiego życia. Mam takie wrażenie, jakbym z ziemi spadł na jakąś inną planetę. Siadajcie, proszę was. Soniu!

(*Sonia nie słyszy go, stoi ze zwieszoną smutnie głową*)

Soniu!

(*Pauza*)

Nie słyszy. (*Do Mariny*) I ty, nianiu, siadaj.
(*Niania siada i robi pończochę*)

Proszę państwa. Zawieście, że się tak wyrażę, wasze uszy na gwoździu uwagi. (*Śmieje się*)

WOJNICKI (*zdeenerwowany*). Może ja jestem niepotrzebny? Mogę odejść?

SIERIEBRIAKOW. Nie, ty jesteś tutaj najpotrzebniejszy.

WOJNICKI. Czego pan sobie życzy ode mnie?

SIERIEBRIAKOW. Pan... Czemu się złościysz?

(*Pauza*)

Jeżeli cię czymś dotknąłem, to proszę, wybacz.

WOJNICKI. Nie tym tonem. Przystąpmy do sprawy... Czego chcesz od nas?

(*Wchodzi Maria Wojnicka*)

SIERIEBRIAKOW. Jest maman. Zaczynam, proszę państwa.

(Pauza)

„Wezwałem was, panowie, bo mam zdecydowanie niewesołą wiadomość. Jedzie do nas rewizor”. No, ale żarty na bok. Sprawa jest poważna. Zebrałem was, moi państwo, aby was poprosić o pomoc i radę, a znając waszą zwykłą życzliwość, mam nadzieję, że je otrzymam. Jestem człowiekiem nauki, książki, zawsze było mi obce życie praktyczne. Nie mogę się obyć bez wskazówek ludzi biegłych i zwracam się do ciebie, Iwanie, i do pana Ilji, i do ciebie, maman... Rzecz w tym, że manet omnes una nox, to znaczy - życie nasze w rękach Boga; jestem stary i chory i dlatego nadszedł właściwy czas uregulować sprawy majątkowe o tyle, o ile dotyczą mojej rodziny. Życie moje już zakończone, o sobie nie myślę, ale mam młodą żonę, dorastającą córkę.

(Pauza)

Nie mogę dalej mieszkać na wsi. Nie jesteśmy stworzeni do tego. A mieszkanie w mieście za dochody, jakie przynosi ten majątek, jest nierealne. Gdyby, dajmy na to, sprzedać las, byłby to fundusz nadzwyczajny, którego nie można stosować corocznie. Należy wynaleźć takie fundusze, które by nam zagwarantowały stałą, mniej więcej określoną cyfrę dochodu. Obmyśliłem pewne rozwiązanie i pozwolę sobie poddać je pod dyskusję. Pomijając detale, wyłożę w ogólnych zarysach. Nasz majątek daje nam średnio nie więcej niż dwa procent. Proponuję sprzedać go. Jeżeli pozyskane środki umieścimy w obligacjach, to będziemy otrzymywali od czterech do pięciu procent i myślę, że nawet zostanie nam kilka tysięcy nadwyżki, co pozwoli na zakupienie niedużej willi w Finlandii.

WOJNICKI. Poczekaj... Zdaje się, że mnie słuch myli. Powtórz, co powiedziałaś.

SIERIEBRIAKOW. Pieniądze włożyć w obligacje, a za nadwyżkę, która zostanie, kupić willę w Finlandii.

WOJNICKI. Nie Finlandia... Powiedziałaś coś tam jeszcze.

SIERIEBRIAKOW. Proponuję sprzedać majątek.

WOJNICKI. O to, to. Sprzedasz majątek, wspaniale, wielki pomysł... A gdzie mielibyśmy się podziąć ze starą matką, no i z Sonią?

SIERIEBRIAKOW. Wszystko w swoim czasie omówimy. Nie tak od razu.

WOJNICKI. Poczekaj. Najwyraźniej, dotychczas nie miałem krzty zdrowego rozsądku. Dotychczas, głupi, myślałem, że majątek należy do Soni. Mój świętej pamięci ojciec kupił ten majątek jako posag

dla mojej siostry. Dotychczas byłem tak naiwny, rozumiałem prawa nie po turecku i myślałem, że majątek siostry przeszedł na Sonię.

SIERIEBRIAKOW. Tak, majątek należy do Soni. Nikt nie zaprzecza. Bez zgody Soni nie zdecyduję się na sprzedaż. A przy tym zamyśliłem to dla dobra Soni.

WOJNICKI. To niebywałe, niebywałe! Albo ja zwariowałem, albo... albo...

MARIA WOJNICKA. Jean, nie sprzeciwiaj się Aleksandrowi. Uwierz, on wie lepiej od nas, co jest dobre, a co złe.

WOJNICKI. Nie, dajcie mi wody. *(Pije wodę)* Mówcie, co chcecie, co chcecie!

SIERIEBRIAKOW. Nie rozumiem, skąd te emocje. Nie twierdzę, że mój plan jest idealny. Jeżeli uznacie go za niezdatny, to ja nie będę obstawać.

(Pauza)

TIELEGIN *(zakłopotany)*. Ja, wasza ekscelencjo, odnoszę się do nauki nie tylko z pietyzmem, ale i mam dla niej uczucia rodzinne. Brata mojego, Grigorija, żony brat, może pan raczy znać, Konstantin Łakiedimonow, był magistrem...

WOJNICKI. Poczekaj, Sękacz, jest sprawa... Poczekaj, potem... *(Do Sieriebriakowa)* Może spytaj go. Ten majątek kupiono od jego wuja.

SIERIEBRIAKOW. Ach, po co mam pytać? Po co?

WOJNICKI. Majątek był kupiony na owe czasy za dziewięćdziesiąt pięć tysięcy. Ojciec zapłacił tylko siedemdziesiąt i miał dwadzieścia pięć długu. Teraz posłuchajcie... Majątku by nie kupiono gdybym nie zrzekł się mojej części spadku na rzecz siostry, którą gorąco kochałem. Mało tego, dziesięć lat harowałem jak wół i cały dług spłaciłem...

SIERIEBRIAKOW. Żałuję, że rozpocząłem tę rozmowę.

WOJNICKI. Majątek jest oddłużony i nie zrujnowany tylko dzięki moim osobistym wysiłkom. I teraz, kiedy się postarzałem, chcę mnie stąd przepędzić na cztery wiatry!

SIERIEBRIAKOW. Nie rozumiem, co chcesz osiągnąć!

WOJNICKI. Dwadzieścia pięć lat zarządzałem tym majątkiem, harowałem, wysyłałem ci pieniądze jak najsolidniejszy oficjalista i przez ten czas ani razu mi nie podziękowałeś. Przez cały ten czas, za

młodu i teraz, otrzymywałem od ciebie wynagrodzenie w wysokości pięciuset rubli rocznie, groszową pensję! - i ty ani razu nie pomyślałeś, żeby dorzucić choć jednego rubla.

SIERIEBRIAKOW. Iwanie, skąd ja mogłem wiedzieć? Jestem człowiekiem niepraktycznym i nie rozeznaję się w tym. Mogłeś sam sobie dorzucić, ile trzeba.

WOJNICKI. Dlaczego ja nie kradłem? Dlaczego nie gardzicie mną wy wszyscy za to, że nie kradłem? To byłoby sprawiedliwe i nie byłbym teraz golcem.

MARIA WOJNICKA (*srogo*). Jean!

TIELEGIN (*z przejęciem*). Wania, kochanieńki, nie trzeba, nie trzeba... cały drzę... Po co psuć dobrą atmosferę? (*Całuje go*) Nie trzeba.

WOJNICKI. Dwadzieścia pięć lat z tą oto matką siedziałem jak kret w norze w czterech ścianach... Wszystkie nasze myśli i uczucia należały tylko do ciebie. Całe dni mówiliśmy o tobie, o twoich pracach, byliśmy z ciebie dumni, z nabożeństwem wymawialiśmy twoje imię; a noce trwoniliśmy na czytanie pism i książek, którymi teraz głęboko gardzę!

TIELEGIN. Nie trzeba, Wania, nie trzeba... Nie mogę...

SIERIEBRIAKOW (*ze złością*). Nie rozumiem, czego ty chcesz?

WOJNICKI. Byłeś dla nas istotą wyższą, a twoje artykuły znaleźliśmy na pamięć... Ale teraz otworzyłem oczy. Widzę wszystko! Piszesz o sztuce, ale nie znasz się na sztuce! Wszystkie twoje prace, które kochałem, nie są warte złamanego grosza! Omamiłeś nas!

SIERIEBRIAKOW. Drodzy! Uciszcie go wreszcie! Bo wyjdę!

JELENA. Iwanie, żądam, aby pan zamilkł. Słyszysz pan?

WOJNICKI. Nie zamilknę! (*Zagradza drogę Sieriebriakowowi*) Poczekaj, nie skończyłem! Zmarnowałeś mi życie! Ja nie żyłem, nie żyłem! Z twojej łaski unicestwiłem, zrujnowałem najlepsze lata mojego życia. Jesteś moim najzjadlejszym wrogiem!

TIELEGIN. Ja nie mogę... nie mogę... Wychodzę...

(*Mocno zdenerwowany wychodzi*)

SIERIEBRIAKOW. Czego ty chcesz ode mnie? I jakie masz prawo mówić do mnie takim tonem? Miernota! Skoro majątek jest twój, to zabieraj, ja go nie potrzebuję.

JELENA. Wyjeżdżam natychmiast z tego piekła! *(Krzyczy)* Dłużej nie wytrzymam!

WOJNICKI. Przepadło życie! Mam talent, rozum, odwagę... Gdybym żył normalnie, byłby ze mnie może Schopenhauer, Dostojewski... Zapędziłem się! Wariuję!... Mamo, oszalałem z rozpacz! Mamusiu!

MARIA WOJNICKA *(surowo)*. Słuchaj się Aleksandra!

SONIA *(klęka obok niani i tuli się do niej)*. Nianiu! Nianiu!

WOJNICKI. Mamusiu! Co ja mam robić? Nie trzeba, nie mów! Sam wiem, co mam robić! *(Do Sieriebriakowa)* Popamiętasz ty mnie!
(Wychodzi przez drzwi środkowe, Maria Wojnicka za nim)

SIERIEBRIAKOW. Drodzy, co to ma być? Zabierzcie ode mnie tego wariata! Nie mogę z nim mieszkać pod jednym dachem. Mieszka tutaj *(Pokazuje na środkowe drzwi)* niemal obok mnie... Niech się zabiera na wieś, do oficyny, albo ja się stąd zabiorę, ale pozostać z nim w jednym domu to ja nie mogę...

JELENA *(do męża)*. Dzisiaj stąd wyjedziemy! Natychmiast trzeba wydać polecenia.

SIERIEBRIAKOW. Nędzna człeczyna!

SONIA *(nadal klęcząc, odwraca się do ojca; nerwowo, przez łzy)*. Trzeba być miłosiernym, tato! I ja, i wujek Wania jesteśmy tacy nieszczęśliwi! *(Opanowując rozpacz)* Trzeba być miłosiernym! Pamiętasz, kiedy byłeś młodszy, wujek Wania i babcia nocami tłumaczyli książki dla ciebie, przepisywali twoje papiery... całe noce, całe noce! Ja i wujek Wania pracowaliśmy bez wytchnienia, bojąc się wydać na siebie grosz i wszystko posyłałiśmy tobie... Nie żyliśmy na łaskawym chlebie! Mówię nie to, nie to, co trzeba, ale musisz nas zrozumieć, tato! Trzeba być miłosiernym!

JELENA *(rozemocjonowana, do męża)*. Aleksandrze, na Boga, porozmawiaj z nim... Błagam.

SIERIEBRIAKOW. Dobrze, porozmawiam z nim... O nic go nie winię, nie unoszę się, ale przyznasz, jego zachowanie jest co najmniej dziwne. Przepraszam, pójdę do niego.

(Wychodzi przez środkowe drzwi)

JELENA. Bądź z nim delikatny, uspokój go... *(Idzie za nim)*

SONIA *(tuląc się do niani)*. Nianiu! Nianiu!

MARINA. Nic, nic, dziecinko. Pogęgają gąsiory - i przestaną. Pogęgają gąsiory - i przestaną.

SONIA. Nianiu!

MARINA (*głaszcze ją po głowie*). Drzysz, jak na mrozie! No, no, Bóg miłościw, sierotko. Herbatka lipowa albo malinki - i wszystko minie... Nie smuć się, sierotko... (*Patrząc na środkowe drzwi, z gniewem*) Rozochociły się gąsiory, a niech ich lichy! (*Za sceną strzał; słychać okrzyk Jeleny; Sonia wzdryga się*)

A bodaj was!

SIERIEBRIAKOW (*wbiega chwiejąc się ze strachu*). Trzymajcie go! Trzymajcie! On oszalał! (*Jelena i Wojnicki walczą ze sobą w drzwiach*)

JELENA (*starając się wyrwać mu rewolwer*). Niech pan odda! Powtarzam, niech pan odda!

WOJNICKI. Proszę mnie puścić, Helene! Proszę mnie puścić! (*Wyrywa się, wbiega do pokoju i szuka wzrokiem Sieriebriakowa*) Gdzie on? A, jest! (*Strzela do niego*) Bach! (*Pauza*)

Nie trafiłem? Znowu pudło? (*Z gniewem*) A do diabła, do diabła... diabła z tym wszystkim... (*Rzuca rewolwer o podłogę i pada bez sił na krzesło*)

(*Sieriebriakow oszołomiony; Jelena opiera się o ścianę, słabo jej*)

JELENA. Zabierzcie mnie stąd! Zabierzcie, zabijcie, ale... nie mogę tu zostać, nie mogę!

WOJNICKI (*w rozpaczy*). O, co ja robię! Co ja robię!

SONIA (*cicho*). Nianiu! Nianiu!

Kurtyna

AKT CZWARTY

Pokój Iwana Wojnickiego; to jego sypialnia i kancelaria majątku. Przy oknie stoi wielki stół z księgami przychodów i wydatków, i z wszelkiego rodzaju papierami, pulpit, szafy, wagi. Mniejszy stół Astrowa, na nim przyrządy rysunkowe, farby; obok teczka. Klatka ze szpakiem. Na ścianie mapa Afryki, pewnie nikomu tutaj niepotrzebna. Ogromna kanapa obita ceratą. Na lewo - drzwi do pokojów, na prawo - drzwi do przedsiionka; przed prawymi drzwiami leży chodnik, żeby chłopci nie nanosili błota. Jesienny wieczór. Cisza.

(Wojnicki i Astrow wchodzą od strony podwórza)

WOJNICKI. Zostaw mnie. *(Do Mariny i Tielegina)* Idźcie stąd, zostawcie mnie samego choć na godzinę. Nie znoszę dozoru.

TIELEGIN. Już, już, Wania. *(Wychodzi na palcach)*

MARINA. Gąsior: gę-gę-gę! *(Zbiera włóczkę i wychodzi)*

WOJNICKI. Zostaw mnie!

ASTROW. Z wielką przyjemnością. Dawno już powinienem stąd wyjechać, ale powtarzam, nie wyjadę, póki nie zwrócisz tego, co mi zabrałeś.

WOJNICKI. Nic od ciebie nie brałem.

ASTROW. Mówię poważnie - nie zatrzymuj mnie. Już dawno miałem wyjechać.

WOJNICKI. Nie brałem nic od ciebie.

(obaj siadają)

ASTROW. Tak? Dobrze, poczekam jeszcze chwilę, a potem, wybaczone, będę musiał użyć przemocy. Zwiążemy cię i obszukamy. Mówię to zupełnie poważnie.

WOJNICKI. Jak chcesz.

(Pauza)

Tak się ośmieszyć: strzelać dwa razy i nie trafić ani razu! Nigdy sobie tego nie wybaczę!

ASTROW. Miałeś ochotę strzelać, to trzeba było walnąć sobie w łeb.

WOJNICKI *(wzrusza ramionami)*. Dziwne. Usiłowałem dokonać zabójstwa a nie aresztują mnie, nie oddają pod sąd. Znaczą, uważają mnie za wariata. *(Śmieje się ze złością)* Jestem wariatem, a nie są wariatami ci, którzy pod maską profesora, uczonego maga, kryją swoje beztalencie, tępotę, swoją godną pożałowania bezduszość. Nie są wariatami ci, którzy wychodzą za mąż za starców, a potem na oczach wszystkich oszukują ich. Widziałem, widziałem, jak ją obejmowałeś.

ASTROW. Tak, obejmowałem, a tobie o... *(Gra na nosie)*

WOJNICKI *(patrzy na drzwi)*. Nie, zwariowana ziemia, która was jeszcze nosi.

ASTROW. No i głupio.

WOJNICKI. Cóż - jestem wariat, niepoczytalny, mam prawo mówić głupoty.

ASTROW. Stary wyga. Nie wariat, a po prostu cudak. Trefniś. Dawniej każdego cudaka uważałem za chorego, nienormalnego, a teraz jestem tego zdania, że normalny stan człowieka - być cudakiem. Jesteś całkiem normalny.

WOJNICKI (*ukrywa twarz w dłoniach*). Wstyd! Żebyś ty wiedział, jak mi wstyd! To ostre uczucie wstydu nie da się porównać z żadnym bólem. (*Ze smutkiem*) Nie do zniesienia. (*Pochyla się nad stołem*) Co ja mam robić? Co mam robić?

ASTROW. Nic.

WOJNICKI. Daj mi coś! O, mój Boże... Mam czterdzieści siedem lat; jeśli pożyję, powiedzmy, do sześćdziesiątki, to zostaje mi jeszcze trzynaście! Długo! Jak ja przeżyję tych trzynaście lat? Co będę robił, czym je wypełnię? O, zrozum... (*ściska gorączkowo rękę Astrowa*) zrozum, gdyby można było przeżyć tę resztę życia jakoś na nowo. Obudzić się w jasny, spokojny poranek i poczuć, że życie zaczęło się na nowo, że cała przeszłość zapomniana, rozplynęła się jak dym. (*Płacze*) Zacząć nowe życie... Podpowiedz mi, jak zacząć... od czego zacząć...

ASTROW (*z irytacją*). A, niech cię! Jakie jeszcze nowe życie! Nasza sytuacja - twoja i moja - jest beznadziejna.

WOJNICKI. Tak?

ASTROW. Jestem przekonany.

WOJNICKI. Daj mi czegoś... (*Pokazuje na serce*) Pali mnie tu!

ASTROW (*krzyczy ze złością*). Przestań! (*Łagodniej*) Ci, którzy będą żyli sto, dwieście lat po nas i którzy będą nami gardzić za to, żeśmy tak głupio, tak niegustownie przeżyli nasze życie - ci może znajdą środki na szczęście, ale my... Mnie i tobie została tylko jedna nadzieja. Nadzieja, że kiedy będziemy spoczywać w naszych trumnach, odwiedzą nas widziadła, może nawet przyjemne.

(*Wzdycha*)

Tak, bracie. Na cały powiat było tylko dwóch porządnych, inteligentnych ludzi: ja i ty. Ale w ciągu jakichś dziesięciu lat życie filisterskie, nikczemne wciągnęło nas; swoimi zgniłymi wyziewami zatruło naszą krew i staliśmy się tak samo trywialni jak wszyscy.

(Żywo)

Ale ty mnie tutaj nie zagaduj, jednak. Ty mi oddawaj, co wzięłeś.

WOJNICKI. Nic od ciebie nie brałem.

ASTROW. Wzięłeś z mojej apteczki podróźnej fiolkę morfiny.

(Pauza)

Słuchaj, jeżeli musisz choćby nie wiem co odebrać sobie życie, to idź do lasu i zastrzel się tam. Ale morfinę mi oddaj, bo zaczniesz się gadanie, domysły, pomysły, że ja ci to dałem... A mnie już wystarczy, że będę musiał robić sekcję twoich zwłok... Myślisz, że to ciekawe?

(Wchodzi Sonia)

WOJNICKI. Zostaw mnie.

ASTROW (do Soni). Sofio, pani wujek zwinął z mojej apteczki fiolkę morfiny i nie chce mi oddać. Niech mu pani powie, że to... niemądre, koniec końców. Ja nie mam czasu. Muszę już jechać.

SONIA. Wujku Wania, wzięłeś morfinę?

(Pauza)

ASTROW. Wziął. Jestem pewien.

SONIA. Oddaj. Po co nas straszysz? (Czule) Oddaj, wujku! Ja może jestem nie mniej od ciebie nieszczęśliwa, a jednak nie wpadam w rozpacz. Cierpię i będę cierpieć, aż życie samo się skończy... Pocierp i ty.

(Pauza)

Oddaj. (Całuje go po rękach) Drogi, cudowny, wujku, kochany, oddaj! (Płacze) Ty jesteś dobry, zlitujesz się nad nami i oddasz. Pocierp, wujku! Pocierp!

WOJNICKI (wyjmuje z szuflady fiolkę i podaje go Astrowowi). Masz, bierz! (Do Soni) Ale trzeba czym prędzej pracować, prędzej coś robić, bo ja nie mogę... nie mogę...

SONIA. Tak, tak, pracować. Jak tylko odprowadzimy naszych, usiądziemy do pracy... (Nerwowo przekłada papiery na stole) Wszystko zaniedbaliśmy.

ASTROW (wkłada fiolkę do apteczki i zaciąga rzemienie). Teraz można już w drogę.

JELENA (*wchodzi*). Panie Iwanie, pan tu? A my zaraz odjeżdżamy... Niech pan idzie do Aleksandra, on chce panu coś powiedzieć.

SONIA. Chodź, wujku. (*Bierze Wojnickiego pod rękę*) Pójdziemy. Musisz się pogodzić z tatą. To konieczne.

(*Sonia i Wojnicki wychodzą*)

JELENA. Wyjeżdżam. (*Podaje rękę Astrowowi*) Żegnam.

ASTROW. Już?

JELENA. Konie zajechały.

ASTROW. Żegnam.

JELENA. Dzisiaj pan mi obiecał, że stąd wyjedzie.

ASTROW. Pamiętam. Zaraz wyjadę.

(*Pauza*)

Przestraszona? (*Bierze ją za rękę*) To takie straszne?

JELENA. Tak.

ASTROW. A może byście zostali. Co? Jutro w leśniczówce...

JELENA. Nie... Już postanowione... I dlatego tak śmiało patrzę na pana, że wyjazd już postanowiony... O jedno tylko proszę: niech pan myśli o mnie lepiej. Chciałabym, żeby pan mnie szanował.

ASTROW. E! (*gest zniecierpliwienia*) Niech pani zostanie, proszę. Niech pani przyzna, nic pani nie ma do roboty na tym świecie, celu w życiu żadnego, nie ma pani czym zająć uwagi i prędzej czy później podda się pani uczuciu - to nieuniknione. To już lepiej nie w Charkowie czy jakimś Kursku, ale tutaj, na łonie natury... Poetycznie, przynajmniej, nawet jesień taka ładna... Są tutaj leśniczówki, zapuszczone dwory w gęście Turgieniewa...

JELENA. Jaki pan zabawny... Jestem zła na pana, a jednak... będę wspominać pana z przyjemnością. Interesujący, oryginalny z pana człowiek. My się już z panem nigdy nie spotkamy, a więc - po co ukrywać? Nawet się trochę w panu zadurzyłam. No, uściśnijmy sobie dłonie i rozstańmy się jak przyjaciele. Niech pan mnie źle nie wspomina.

ASTROW (*uściska jej rękę*). Tak, wyjeżdżajcie... (*Zamyślony*) Niby pani jest dobra, serdeczna, a jest jakby coś dziwnego w całej pani istocie. Przyjechała pani tutaj z mężem i wszyscy, co tu pracowali, krzżeli się, coś tam tworzyli - musieli porzucić swoje zajęcia i całe lato zajmować się podagrą pani męża i panią. Oboje - on i pani - zaraziliście nas wszystkich swoją bezczynnością. Zadurzyłem się, cały miesiąc nic nie robiłem, a tymczasem ludzie chorowali, w moich lasach, zagajnikach chłopci wypasali swoje bydło... Tak więc, gdziekolwiek wkroczycie, pani i pani mąż, tam niesiecie spustoszenie... Żartuję, oczywiście, ale jednak... dziwne, i jestem przekonany, że gdybyście tutaj zostali, dewastacja byłaby nieodwracalna. I ja bym zginął, no i pani by... nie uszła cała. No, niech pani jedzie. Finita la commedia!

JELENA (*bierze z jego stołu ołówek i chowa szybko*). Ten ołówek biorę na pamiątkę.

ASTROW. Jak dziwnie... Znaliśmy się i raptem... nigdy już się mamy nie zobaczyć. I tak wszystko na świecie... Póki nikogo tu nie ma, póki wujek Wania nie wszedł z bukietem, niech pani pozwoli mi... pocałować się... Na pożegnanie... Co? (*Całuje ją w policzek*) No, tak... i wspaniale.

JELENA. Życzę panu wszystkiego najlepszego. (*Obejrzawszy się*) No, było nie było, raz w życiu! (*Obejmuje go gwałtownie, po czym szybko odsuwają się od siebie*) Trzeba jechać.

ASTROW. Wyjeżdżajcie czym prędzej. Jeżeli konie już są, to ruszajcie.

JELENA. Ktoś idzie, zdaje się.

(*Oboje nasłuchują*)

ASTROW.

Finita!

(*Wchodzi Sieriebriakow, Wojnicki, Maria Wojnicka z książką w ręce, Tielegin i Sonia*)

SIERIEBRIAKOW (*do Wojnickiego*). Puśćmy to w niepamięć. Po tym, co się stało, przez te kilka godzin przeżyłem tak wiele i tyle przemyślałem, że zdaje mi się, mógłbym napisać ku nauce potomnych cały traktat o tym, jak żyć. Z chęcią przyjmuję twoje przeprosiny i sam proszę cię o wybaczenie. Żegnaj!

(*Całuje się trzy razy z Wojnickim*)

WOJNICKI. Będiesz regularnie otrzymywał to samo, co otrzymywałeś dotąd. Wszystko będzie po staremu.

(*Jelena ściska Sonię*)

SIERIEBRIAKOW (*całuje w rękę Marię Wojnicką*). Maman...

MARIA WOJNICKA (*całuje go*). Aleksandrze, sfotografuj się ponownie i przyslij mi swoje zdjęcie. Wiesz, jak mi jesteś drogi.

TIELEGIN. Do widzenia, ekscelencjo! I proszę nas nie zapominać!

SIERIEBRIAKOW (*pocałowałszy córkę*). Żegnaj... Żegnajcie wszyscy! (*Podając rękę Astrowowi*)
Dziękuję za miłe towarzystwo... Szanuję pana sposób myślenia, pana zapał, porywy, ale proszę pozwolić staremu człowiekowi dodać do słów pożegnania jedną tylko uwagę: trzeba, kochani, robić swoje! Trzeba robić swoje! (*Ogólny ukłon*) Wszystkiego dobrego! (*wychodzi; za nim idzie Maria Wojnicka i Sonia*)

WOJNICKI (*mocno całuje Jelenę w rękę*). Żegnam... Przebac... Nigdy więcej się nie zobaczymy.

JELENA (*rozzulona*). Żegnam, słonko! (*Całuje go w głowę i wychodzi*)

ASTROW (*do Tielegina*). Powiedz tam, Sękacz, żeby od razu i moje konie zajęchały.

TIELEGIN. Dobrze, kochany! (*Wychodzi*)

(*Zostaje tylko Astrow i Wojnicki*)

ASTROW (*zbiera ze stołu farby i chowa je do walizki*). Dlaczego nie idziesz ich odprowadzić?

WOJNICKI. Niech sobie jada, a ja... ja nie mogę. Ciężko mi. Trzeba jak najprędzej zająć się czymś... Pracować, pracować! (*szpera w papierach na stole*)

(*Pauza; słychać dzwoneczki*)

ASTROW. Pojechali. Profesor zadowolony, pewnie. Jego tutaj na postronku nie zaciągniesz.

MARINA (*wchodzi*). Pojechali. (*Siada w fotelu i zaczyna robić pończochę*)

SONIA (*wchodzi*). Pojechali. (*Wyciera oczy*) Daj Boże, szczęśliwie. (*Do wujka*) No, wujku, róbmy coś.

WOJNICKI. Pracować, pracować...

SONIA. Dawno, dawno już nie siedzieliśmy przy tym stole. (*Zapala lampę na stole*) Atramentu, zdaje się, nie ma... (*Bierze kalamarz, idzie do szafy i nalewa atramentu*) Smutno mi, że wyjechali.

MARIA WOJNICKA *(wchodzi pomалу)*. Pojechali! *(Siada i pogrąża się w lekturze)*

SONIA *(siada przy stole i kartkuje księgę rachunkową)*. Przede wszystkim, wujku, wypiszemy rachunki. Strasznie zaniedbane. Dzisiaj znowu przysłano po rachunek. Pisz. Ty pisz jeden rachunek - a ja drugi...

WOJNICKI *(pisze)*. „Rachunek... dla pana”... *(Oboje piszą w milczeniu)*

MARINA *(ziewa)*. Jakoś mi senno...

ASTROW. Cisza. Pióra skrzypią, świerszcz gra. Ciepło, przytulnie... Nie chce się stąd wyjeżdżać.

(Słychać janczary)

O, konie zajechały... Pozostaje mi więc tylko pożegnać was, przyjaciele, pożegnać się z moim stołem - i hajda! *(Wkłada kartogramy do teczki)*

MARINA. Co cię tak gna? Posiedź jeszcze...

ASTROW. Nie mogę.

WOJNICKI *(pisze)*. „I z poprzedniego rachunku zostało dwa siedemdziesiąt pięć...”.

(Wchodzi robotnik)

ROBOTNIK. Panie doktorze, konie zajechały.

ASTROW. Słyszałem. *(Podaje mu apteczkę, walizkę i teczkę)* Zabierz to. Ostrożnie, nie pomnij teczki.

ROBOTNIK. Tak jest.

(Wychodzi)

ASTROW. No cóż... *(Podchodzi, aby się pożegnać)*

SONIA. Kiedy się zobaczymy?

ASTROW. Chyba nie przed latem. Zimą raczej nie... Oczywiście, gdyby się coś stało, to dajcie znać - przyjadę. *(Ściska dłonie)* Dziękuję za wikt i opierunek, za ciepło... słowem za wszystko. *(Idzie do niani i całuje ją w głowę)* Żegnaj, starowinko.

MARINA. Wyjeżdżasz tak bez herbaty?

ASTROW. Nie chcę, nianiu.

MARINA. Może wódeczki wypijesz?

ASTROW (*niezdecydowanie*). Może... (*Marina wychodzi. Astrow po pauzie*) A moja prawa klacz trochę okuląła. Już wczoraj zauważyłem, kiedy Pietruszka prowadził poić...

WOJNICKI. Trzeba przekuć.

ASTROW. Muszę w Roźdiestwiennoje zajechać do kowala. Nie minie mnie to. (*Podchodzi do mapy Afryki i ogląda ją*) A pewnie w tej Afryce to teraz spiekota - nieludzka rzecz!

WOJNICKI. Tak, zapewne.

MARINA (*wraca z tacą, na której stoi kieliszek wódki i leży kawałek chleba*) Masz. (*Astrow wypija wódkę*)

Na zdrowie, kochanie. (*Kłania się nisko*) A chlebem nie zakąsisz?

ASTROW. Nie, ja i tak... A więc, wszystkiego dobrego! (*do Mariny*) Nie odprowadzaj mnie, nianiu. Nie trzeba.

(*Astrow wychodzi; Sonia idzie za nim ze świecą, odprowadza go; Marina siada na swoim fotelu*)

WOJNICKI (*pisze*). „Drugiego lutego dwadzieścia funtów oleju... szesnastego lutego znowu oleju dwadzieścia funtów... kaszy gryczanej”...

(*Pauza; słycać janczary*)

MARINA. Pojechał.

(*Pauza*)

SONIA (*wraca, stawia świecę na stole*). Pojechał...

WOJNICKI (*porachował na liczydłach i zapisuje*). Razem... piętnaście... dwadzieścia pięć...

(*Sonia siada i pisze*)

MARINA (*ziewa*). O, grzeszni my, grzeszni...

(*Tielegin wchodzi na palcach, siada przy drzwiach i cicho nastraja gitarę*)

WOJNICKI (*do Soni, gładząc ją po włosach*). Dziecko moje, jak mi ciężko! Ach, żebyś wiedziała, jak ciężko!

SONIA. Co poradzisz, trzeba żyć!

(Pauza)

I my, wujku, będziemy żyć. Przeżyjemy długi, długi łańcuch dni, nieskończonych wieczorów; cierpliwie przetrwamy próby, jakim podda nas los; będziemy pracować dla innych i teraz, i na starość, nie zaznamy spokoju, a kiedy wybije nasza godzina, umrzemy pokornie i tam za grobem powiemy, że cierpieliśmy, płakali, zaznali goryczy, i Bóg ulituje się nad nami, i my razem, wujku, kochany wujku, ujrzymy świetlane, piękne, rajskie życie, poczujemy radość i na dzisiejsze nasze nieszczęścia spojrzemy z rozrzewnieniem, z uśmiechem - i odpoczniemy. Ja wierzę, wujku, wierzę gorąco, żarliwie...

(Kłęka przed nim i opiera głowę o jego rękę; zmęczonym głosem)

Odpoczniemy!

(Tielegin cichutko gra na gitarze)

Odpoczniemy! Usłyszemy anioły, ujrzymy niebo całe w diamentach, ujrzymy, jak wszelkie ziemskie zło, wszystkie nasze cierpienia utoną w miłosierdziu, które napelni cały świat, i życie nasze stanie się ciche, subtelne, słodkie jak czułość. Wierzę, wierzę... *(Ociera mu łzy chusteczką)* Biedny, biedny wujku, ty płaczesz...

(Przez łzy)

Nie poznałeś w życiu radości, ale poczekaj, wujku, poczekaj...

Odpoczniemy...

(Obejmuje go)

Odpoczniemy!

(Nocny stróż kołacze; Tielegin przygrywa cicho; Maria Wojnicka pisze uwagi na marginesie broszury; Marina robi na drutach)

Odpoczniemy!

Powoli opada kurtyna.

